SPORT TRAVEL MOUNTAIN SPIRIT

CRAG
magazine

IGA I ANDRZEJ MOSKAL *Zielonym tempem*
KACPER TEKIELI *Wspinaczkowe USA*
MATEUSZ WALIGÓRA *Przez Przez Sahar de Uyuni*
MACIEJ SZOPA *Surfingowa Portugalia*

GREGORY®

gregorypacks.com

THE TRAIL SPEAKS. WE LISTEN.

BALTORO 85 | BALTORO 75 | BALTORO 65 | DEVA 80 | DEVA 70 | DEVA 60

OD REDAKCJI

Z wielką satysfakcją oddajemy w Wasze ręce pierwsze wydanie CRAG *magazine*. Zabieramy Was w podróż po odległych kontynentach i ciekawych miejscach, na wędrówkę przez słoną pustynię w Boliwii, bezdroża Ugandy i piękne Góry Skaliste. Być może zainspirujemy Was do rozpoczęcia nowej ekstremalnej przygody? Poznacie ludzi, którzy wybrali alternatywny styl życia i podróżują trzydziestoletnim mulitivanem po Europie, ochraniają statki na Oceanie Indyjskim czy też szkolą przyszłych wspinaczy w Tatrach. Poczujecie skałę najlepszych rejonów wspinaczkowych w USA, ciepły piasek i surfingowe fale na portugalskiej plaży oraz prawdziwą Afrykę. Mamy nadzieję, że zarazimy Was pasją odkrywania i zachęcimy do realizowania podróżniczych i sportowych celów.

Crag Sport

SPIS TREŚCI

IGA i ANDRZEJ MOSKAL *Zielonym tempem* **4**

KACPER TEKIELI *Wspinaczkowe USA, czyli w poszukiwaniu różnorodności* **8**

ANDRZEJ MECHERZYŃSKI-WIKTOR *Pucharowy turysta* **12**

MATEUSZ WALIGÓRA *Pieszo przez Salar de Uyuni* **16**

PK *Prosta robota* **20**

BARTŁOMIEJ KLOCEK *Uganda no problem* **22**

MACIEJ SZOPA *Surfingowa Portugalia* **26**

EVOLV TEAM *Kim jesteś? Jestem wspinaczem* **28**

JAN KUCZERA *Ja, Instruktor* **32**

BD *Jeśli jeszcze się nie zepsuło – zepsuj to!* **34**

ADAM KOKOT *Fotograf sportów ekstremalnych* **37**

REDAKCJA: BARTŁOMIEJ KLOCEK, BARTŁOMIEJ RAK | PROJEKT I SKŁAD: JAREK NOGA | ZDJĘCIE NA OKŁADCE: MICHAŁ KRÓL, SARDYNIA - FOT. ADAM KOKOT
WYDAWCA: CRAG SPORT - UL. SARNIE UROCZYSKO 4/6 30-225 KRAKÓW | KONTAKT: INFO@CRAGSPORT.PL | WWW.CRAGMAGAZINE.PL

ZIELONYM TEMPEM

IGA I ANDRZEJ MOSKAL

Budzimy się tylko wtedy, kiedy słońce zagląda do naszych okien, potrafimy godzinę smażyć naleśniki, nie mamy lodówki, nie wiemy jaki jest dzień tygodnia i która jest godzina. Nasz dom ma 4 metry kwadratowe i nazywa się krokodyl. Nigdy nie było nam lepiej.

Nasz cygański żywot rozpoczął się środkiem lata, kiedy to spakowaliśmy sprzęt wspinaczkowy, kilka naczyń, trochę niezbędnych rzeczy do naszego multivana i ruszyliśmy przed siebie. Cel był jasny – porzucić system i nie oglądać się za siebie, wspinać się wszędzie, gdzie się da, ale przede wszystkim – nie musieć planować totalnie nic. Po kilku latach konsekwentnego planowania kariery zawodowej postanowiliśmy poluzować nieco wodze fantazji, które błyskawicznie zaprowadziły nas właśnie tutaj - do naszego vanlife'u.

Jesteśmy w Hiszpanii. Utrwalamy naszą opaleniznę korzystając z silnych, jak na zimową porę, promieni słońca. Podmiejski parking po brzegi zapełniony jest najróżniejszymi furgonetami. W końcu cyganie nie potrafią żyć inaczej niż w grupie. Andrzej smaży wyśmienite naleśniki, ja korzystam z porannych lekcji parkingowej jogi, ktoś na gitarce wyraża swoje poranne zadowolenie z życia. Z drugiego końca parkingu roznosi się nieziemski zapach egzotycznej kawy, koledzy z Austrii w trosce o swoją przyszłość, szlifują swoją sztukę żonglerską. Tak celebrujemy poranki do samego południa - do momentu, w którym błogie lenistwo przeobraża się w sprężne szpejenie, tudzież innego rodzaju aktywizacje sportowe. Wieczorem socjalizacji nigdy nie dość, jedzenia i wina też nigdy za wiele, pod warunkiem oczywiście, że kolejny dzień jest dniem restowym.

Mija nam ósmy miesiąc podróży. W chłodniejsze wieczory odpalamy ogrzewanie postojowe i karmimy szare komórki szachami. Nasze mozolne ruchy na szachownicy przeplatają się ze wspomnieniami wcześniejszych miejsc, poznanych ludzi, śmiesznych przygód i poważniejszych wyzwań. Austria, Włochy, Szwajcaria, Francja, Hiszpania, Maroko. 6 krajów, 25 różnych miejsc wspinaczkowych, setki nowych doświadczeń i niezliczona liczba fantastycznych ludzi napotkanych na naszej drodze. Lubimy sobie utrwalać te wspomnienia – im silniejsze, tym więcej motywacji dla dalszych podróży nam przynoszą. W końcu pomysłów na

dalsze wojaże mamy tyle, że nie wiemy, w którą stronę mamy się ruszyć.

Vanlife w Polsce nie jest zbyt popularną formą spędzania wolnego czasu. Toteż na początku postrzegaliśmy swoją podróż trochę jak ucieczkę z Polski, jako oderwanie się od otaczającej rzeczywistości i robienie czegoś totalnie innego. W szybkim jednak czasie wraz z odkrywaniem nowych komun wspinaczkowych przekonujemy się, że życie w vanie naprawdę istnieje, a im dalej na południe, tym bardziej popularnym zjawiskiem się staje. Tu, w Hiszpanii uchodzimy za świeżynki w porównaniu do całej rzeszy obieżyświatów prowadzących swoje szczęśliwe życie we własnoręcznie urządzonych busach. I jakoś nieszczególnie dziwi nas ten fakt, kiedy na własnej skórze przekonujemy się, że zimą tutaj nie tylko nie zamarzniesz, ale i całkiem nieźle się opalisz! Dlaczego więc wszystkie wolne, cygańskie duchy miałyby męczyć się w betonowych murach i trwonić sezonowo zarobione środki finansowe na utrzymanie domu? I czemu wakacje miałby trwać dwa tygodnie? Przecież to nieracjonalne…

Żywot nieskrępowanych podróżników błyskawicznie przypadł nam do gustu. Przyjeżdżamy, parkujemy dom na kółkach i oto jesteśmy. Tyle ile chcemy, tam, gdzie nam się podoba, bez żadnych zobowiązań i bez ograniczeń. Jedyne, co nam niezbędne to dostęp do wody, jakiś tam sklep w promieniu 15 km, trochę lasu i płaskiego gruntu, no i oczywiście, wszelkiego rodzaju masywy skalne. Bywało też i tak, że na chwilę przenosiliśmy się do ciepłego mieszkania, żeby znowu po chwili zatęsknić za krokodylem, za porankami na powietrzu, za godzinnymi śniadaniami, za naturą od rana do wieczora.

Dużo czytamy. Nareszcie odnajdujemy wiele chwil na spędzenie ich z książką. Odkrywamy siebie. Andrzej fruwa dronem nad lasami i miastami, ale przede wszystkim wspina się wytrwale, bo to jego pasja życia - nieusuwalna. Ja zaprzyjaźniłam się z aparatem i słowem pisanym na rzecz wspinania, które jednak nie było w stanie zdominować mojego rytmu dnia. Toteż zamiast piąć się po nieco bolesnej i okupionej zniszczoną skórą na dłoniach drodze ku cyfrze, wymyślam blogerskie koncepcje, mając za sobą pierwsze kroki pod adresem green-pace.com.

Póki co nie wyobrażamy sobie powrotu do normalnego życia, dzierżąc wizję eksplorowania kolejnych hiszpańskich krain. Ale, że nasz plan to brak planu, nie chwalimy się nadmiernie, wykorzystując na maksa chwile tutaj w Hiszpanii. Jednocześnie intensywnie pracujemy nie tylko nad formą sportową, ale i projektem cyklu VanLife'owego, który nadchodzi… zielonym tempem.

www.green-pace.com

evolv

New SHAMAN 2016

Presented by Chris Sharma

WSPINACZKOWE USA, CZYLI W POSZUKIWANIU RÓŻNORODNOŚCI

KACPER TEKIELI

Abstrahując od pozycji w świecie polityki i gospodarki, dla wspinaczy i innej maści miłośników obcowania z przyrodą USA jest krajem szczególnym. To za „wielką wodą" wymyślono i wprowadzono w życie koncepcję parku narodowego, a ta zasługa stała się swoistym ekwiwalentem niejednoznacznych moralnie początków wielkiego państwa. Ogromne obszary dzikiej i niczym nieskażonej przyrody, a nawet nieeksplorowane przez człowieka tereny to skarby, których w dzisiejszym świecie nie sposób przecenić. W niniejszym tekście chciałbym przybliżyć kilka atrakcyjnych wspinaczkowo miejsc, które choć już odkryte i gdzieniegdzie dobrze znane, wciąż zasługują na przypomnienie w postaci opisu czy impresji związanej z ich odwiedzinami. Po kilkukrotnych, przedłużonych wizytach w USA, zdałem sobie sprawę, że pełny, przekrojowy opis to temat na kilkutomową publikację, a jedyne co można zrobić bez większego logistycznego zaplecza, to podzielić się mocno subiektywną opinią i wrażeniami. Słysząc hasło „Ameryka", wspinacze automatycznie widzą w swojej wyobraźni dolinę Yosemite lub urwiste piachy Indian Creek. Ja chciałbym się jednak odwołać do doświadczeń z mniej znanych – choć z pewnością powszechnie kojarzonych rejonów.

VAIL

Jest to mała kilkutysięczna miejscowość w sercu stanu Colorado, znana przede wszystkim jako kurort narciarski. We wzgórza nieopodal autostrady wcięty jest kamieniołom w kształcie określanym w topografii górskiej jako amfiteatr. To prawdopodobnie ten kształt i bliskość cywilizacji sprawiła, że ten „mini rejonik" stał się kolebką technicznej zimowej wspinaczki. Na początku lat 90-tych intensywnie działał tam Jeff Lowe, który wytyczył pierwszą skalno-lodową linię o trudnościach M8. Jej rewolucyjność polegała na akrobatycznym przerzuceniu nóg ze skalnego dachu na niewielki, nieasekurowalny sopel, który wyprowadza na „szczyt". Vail odwiedziłem już 2009 roku jednak dopiero w kilkanaście miesięcy temu zamarzyło mi się przejście tej historycznej drogi. Trzy dni po wylądowaniu w Chicago, czyli następnego dnia po zakończeniu kilkunastogodzinnej jazdy, podszedłem pod ścianę razem z Przemkiem Jurczykiem, by rozruszać się i ewentualnie zobaczyć kluczowy sopel od tyłu. Gdzieś w głowie miałem jednak informację od goszczących mnie Magdy i Standy Vrba, że Octopussy – bo taką nazwę otrzymała ta linia – jest znakomicie wylana. Rozpocząłem wspinaczkę po dobrze przylepionym do skały

lodzie i bez problemów dotarłem do stanowiska pod wielkim okapem. Widząc obiekt swojego pożądania z bliska, podjąłem decyzję o spróbowaniu swoich sił. Pod dachem znalazłem kilka starych haków autora drogi, który stanowi jedną z najjaśniejszych gwiazd mojego osobistego, wspinaczkowego nieboskłonu. Po podniesieniu ich wytrzymałości za pomocą mikrocamów, z niepewnością zaatakowałem sopel i zgodnie ze sztuką, wykonałem runout na całą jego długość. Choć skalne trudności Octopussy były tego dnia z pewnością mniejsze (oceniam je na M6+) to wspinaczka lodową kurtyną (WI6) oraz słaba jakość asekuracji dały niewypowiedzianą satysfakcję i szczęście. W amfiteatrze Vail poprowadzono w późniejszych latach kolejne linie z serii „pierwsze" (M9, M10 itd. aż do M14), a teren został wyczyszczony z kruchych wapiennych bryłek różnej wielkości. Każdy zimowy wspinacz o w miarę wyrobionym przedramieniu goszczący w rajskim Colorado znajdzie tam coś dla siebie, bez względu na to, czy tego typu drogi będą dla niego celem samym w sobie, czy jedynie rozgrzewką przed wspinaniem w górach.

GÓRY SAN JUAN

Graniczące ze sobą hrabstwa San Juan i Ourey, położone na południowo - zachodnim krańcu Colorado, znane są zimowym wspinaczom jako świetne miejsce do uprawiania wspinaczki lodowej. Samo miasteczko Ourey, pomiędzy grudniem a marcem ma prawdopodobnie największe zagęszczenie dziabek i śrub lodowych na kilometr kwadratowy na świecie, gdyż przez całą dobę dba o jakość lodu spływającego po pobliskim kanionie. Umożliwia to wielka konstrukcja rur i kranów z których w nocy uwalniana jest woda. Kręcąc serpentynami powyżej miasta, dojeżdżamy do pierwszego szlabanu, otwierającego się jedynie przed pracownikami kopalni srebra. Na lewo od niego staje dęba 300-metrowa ściana poprzecinana wąskimi kominami. Jeden z tych kominów to Birdbrain Boulvard – linia wizjonerskiego przejścia zespołu Jeff Lowe – Mark Wilford – Charlie Fowler z 1985 roku o mocnej wycenie IV, WI5, M6 R. Podejście pod cały mur – choć blisko parkingu – narażone jest na masywne lawiny. Pierwsze obserwacje nie napawają optymizmem. Postanowiliśmy udać się do oddalonego o dwie godziny jazdy National Monument, gdzie oddaliśmy się pustynnej wspinaczce na piaskowcowych turniach, oczekując na poprawę warunków w San Juan. Po zaliczeniu dwóch dobrych przejść, kolejnego dnia zaatakowaliśmy z powodzeniem wymarzony „Ptasi móżdżek". Linia ta jest jedną z wielu wymagających dróg okolicy. Jakość asekuracji pozostawia wiele do życzenia i przerzedza szeregi chętnych, redukując liczbę przejść Birdbrain do średnio 4-5 rocznie. Poza typowymi górskimi wyrypami znajdziemy tam również mikstowe linie w pełnym przedziale trudności i różnych rodzajach asekuracji. W porównaniu do bardziej znanych okolic Gór Skalistych jest to rejon koneserski i mniej uczęszczany.

DEVILS TOWER

Jednym z najbardziej inspirujących pasaży skalnych pozostawała dla mnie długo linia El Matadora, którą pierwszy raz zobaczyłem przy okazji filmu z udziałem Catherine Destivelle. Po wirtualnym rozeznaniu się w przebiegu drogi, zrozumiałem, że cała Devils Tower warta jest zainteresowania, a każda z jej stron oferuję coś wyjątkowego dla wspinacza. Wyrastająca pośrodku pól uprawnych i lasów północno-wschodniego stanu Wyoming, zbudowana ze skały wulkanicznej, Diabelska Wieża wznosi się na wysokość prawie 400 metrów ponad płaskowyż tego rejonu. Choć poza nią nie ma w okolicy innych celów wspinaczkowych, to sama wieża oferuje wiele, bo ponad 200 różnych linii i kombinacji kończących się na jej płaskim szczycie. W 2015 roku, po rozgrzewkowej wspinaczce Assembly Line (5.10a), skierowałem swoją całą koncentrację na wspomnianą El Matador (5.10d). Choć o stylu OS, za sprawą oglądanego wielokrotnie filmu z udziałem francuskiej gwiazdy, mogłem zapomnieć, to bardzo zależało mi na

czystym przejściu linii, w pierwszej próbie. Kluczowym wyciągiem Matadora jest wertykalny tunel, który dla dobrze rozciągniętych osób staje się w połowie drogi szerokim kominem. I tym razem udało się spełnić marzenie i usunąć niepokój ducha, który towarzyszył mi w przeszłości podczas oglądania zdjęć Devils Tower. Lokalizację tę polecam wszystkim pragnącym przejścia solidnej szkoły wspinaczki w rysach i zacięciach wszelkiego typu, wielkości i kształtu.

FISHER TOWERS

Gdy pierwszy raz zobaczyłem Fisher Towers z okna samochodu, pomyślałem, że to najpiękniejsze skalne zjawisko jakie widziały moje oczy. W ciągu kilku minut zrewidowałem swoje plany wyjazdowe i wygospodarowałem trochę czasu na wspięcie się na jedną z piaskowych, gotyckich katedr. Wielokrotnie zadawałem sobie pytanie, dlaczego już w pierwotnych planach nie zawarłem odwiedzin tego rejonu. Wypytując wielu znajomych o ich wiedzę na temat Fisher Towers, ze zdumieniem odkryłem, że jest to masyw mało znany. Sam poznałem przypadkiem jego nazwę podczas czytania artykułu o najtrudniejszych hakówkach świata. Jednak nie tylko entuzjastom sztucznych ułatwień polecić można ten egzotyczny zakątek wschodniej części Utah. Piaskowiec, choć kruchy i posiadający znacznie gorsze właściwości niż sąsiedni Indian Creek czy bardziej odległy Zion, ma niezaprzeczalną zaletę – wyprowadza wspinacza na strzeliste wierze, pozwala na pełne doświadczenie estetycznego raju, w pełnej, pustynnej ekspozycji. Gdy pierwszy raz wspinałem się tam w 2012 roku z Małgosią Lebdą, byliśmy pod tak wielkim wrażeniem, że nie zrobiliśmy zdjęć szczytowych. Konieczny był powrót na tę samą drogę – jak się później okazało, najpopularniejszą w rejonie – Stolen Chimney (5.11a). Udało się zamknąć ten rozdział w 2015 roku, kiedy to powtórzyliśmy flagową linię rejonu i wykonaliśmy przy okazji grubo ponad setkę pamiątkowych fotografii. Powrót na inne wspaniałe turnie w okolicy znajduje się na pierwszej stronie mojej listy życzeń.

Zgodnie z zapowiedziami „rzuciłem" jedynie kilkoma hasłami, które skojarzyły mi się z tematem mniej znanych rejonów wspinaczkowych USA. Nic nie odbierze potęgi i majestatu wspomnianym Yosemitom, jednak wiele spośród pięćdziesięciu stanów posiada swoje unikatowe w światowej skali perełki. Doświadczając różnorodności skały, lodu czy wreszcie krajobrazu, łatwo zanurzyć się w rzece szczęścia i niczym nie zmąconej radości jaką jest wspinaczka.

Kacper Tekieli (KW Trójmiasto, Polar Sport, wspinanie.pl)

Photography by Ben Moon (top), Matt Law (bottom).

THE EVOLUTION OF ULTRALIGHT.

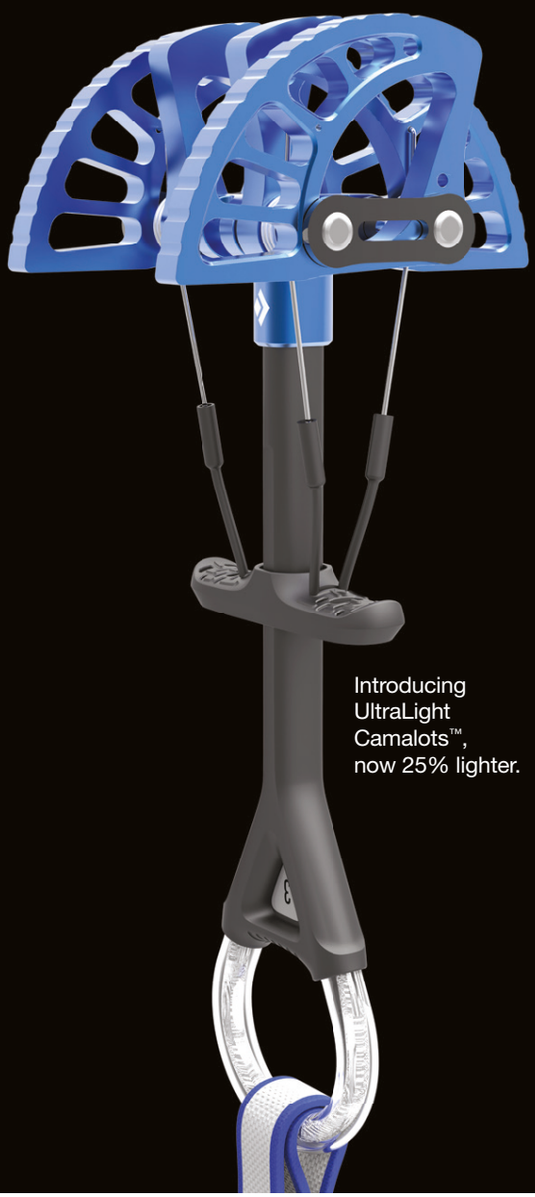

Introducing
UltraLight
Camalots™,
now 25% lighter.

Black Diamond®

BlackDiamondEquipment.com

PUCHAROWY TURYSTA

ANDRZEJ MECHERZYŃSKI-WIKTOR

FOT. STEFAN MADEJ

Kiedy kilka lat temu postanawiałem wrócić do aktywnych startów w Pucharze Świata w boulderingu, podchodziłem do swojej decyzji w kategoriach stricte sportowych. Bogiem a prawdą nie miałem wówczas podejrzeń, że szybko zakres moich zainteresowań ogarnie cały cykl pucharowy - a co się z tym wiąże, podróże po większej części świata. Tymczasem rola reprezentanta kraju okazała się okazją do odbycia niespodziewanych wcześniej wycieczek, tym samym odwiedzenia miejsc znanych jedynie z pośrednich przekazów. Poniżej kilka wrażeń "pucharowego" turysty.

CHINY

Chiny były jak dotąd najbardziej obcym kulturowo miejscem w jakie zaprowadziło mnie wspinanie. Mając na koncie odbytą niegdyś podróż do Indii (przyczyny najzupełniej pozasportowe), byłem w jakiś sposób przygotowany na holistyczny szok komunikacyjny. Holistyczny - albowiem dotyczący odmiennego charakteru całości ludzkiej komunikacji, nie tylko bariery językowej. Ta ostatnia akurat w Chinach jest wyraźnie zauważalna, w przeciwieństwie do wspomnianych Indii, niegdysiejszej kolonii brytyjskiej, mówiącej z tego względu niezbyt dobrze, ale bardzo skutecznie po angielsku. Niemniej jednak, na języku zabawa dopiero się zaczyna. Napotykając pierwsze trudności w porozumieniu się z mieszkańcami Państwa Środka, skonfundowany przybysz ima się najstarszej wersji pisma - piktogramu. Na jaw wychodzi natychmiast ciasnota intelektualna, pospołu jego samego oraz chińskich rozmówców. Nie mogąc poradzić sobie samym rysunkiem, wplatamy weń tu i ówdzie elementy kulturowo bardziej zaawansowane, które - jak sądzimy - nasi rozmówcy powinni "jednak przecież" znać: pojedyncze litery… alfabetu łacińskiego. Jakież jest nasze zdziwienie, kiedy z ich strony pada propozycja podobnego rodzaju: z wyrazem twarzy znamionującym bezpośrednią szczerość, malują na białej kartce papieru… "chińskie znaczki". W międzyczasie wychodzi na jaw kulturowa osobliwość Chińczyków - podczas gdy my zajęci byliśmy bazgroleniem możliwie jasnych (dla nas!), zupełnie bezużytecznych schematów, grono naszych rozmówców powiększyło się z jednego do pięciu osób. Wszyscy oni zdają się być równie mocno zaangażowani w proces komunikacji międzykulturowej, jednocześnie zupełna nieporadność w jakiej celują irytuje nas tym bardziej, że jest jaskrawym odbiciem nieporadności naszej. Proces cały powtarza się: te same bzdurne grafiki, którymi usiłowaliśmy zastąpić język mówiony w "rozmowie" z jednym Chińczykiem, teraz z dumą prezentujemy całej ich grupie. Wzajemne podobieństwo przedstawicieli innej odmiany człowieka (analogiczne zapewne ich wrażeniu, że wszyscy Europejczycy wyglądają tak samo) nigdy nie jest tak widoczne jak w momencie, w którym siedem już teraz chińskich twarzy przyjmuje naraz dokładnie taki sam wyraz. Nie zwiastuje on powodzenia naszej sprawie. Od początku konwersacji musi minąć z reguły przynajmniej kwadrans aby okazało się, że każdy z naszych rozmówców posiada w telefonie... aplikację translacyjną! Przyspiesza to skutecznie negocjacje i wyposaża nas w przekonanie, że kolejne rozmówki polsko-chińskie (via tłumaczenie na angielski na potrzeby urządzenia elektronicznego) pójdą już teraz z górki. Wystarczy poprosić interlokutora o włącznie odpowiedniego programu w telefonie i… ...problem zaczyna się na nowo przyjmując postać kota Schroedingera, albowiem improwizowany język migowy nie posiada w swoim zestawie żadnego ze słów: "tłumacz", "program", "aplikacja". Zarazem wszystko do czego zdolni jesteśmy dojść za pomocą prostych operacji manualnych (na przykład zamówienie obiadu "takiego jak na zdjęciu" - w chińskich lokalach często wiszą wizerunki potraw) nie przedstawia sobą żadnych trudności. Uogólnienia nie są dzisiaj na czasie, niemniej mogę stwierdzić, że Chińczycy są narodem ludzi inteligentnych, zarazem lubujących się w przydawaniu każdej sprawie wymiaru ceremonialnego. Na przykład taksówkarz chiński! Jest on zaiste mistrzem kierownicy, skoro w dżungli chińskiego ruchu drogowego (nie ma prawie żadnych reguł, choć jeździ się wolno, dzięki temu ruch jest bardzo płynny, zarazem wygląda karkołomnie) nie okazuje nigdy (sic!) najmniejszej emocji. Tymczasem sytuacje z jakimi ma do czynienia (średnio co minutę) skłoniłyby przeciętnego polskiego kierowcę do natychmiastowego zajechania drogi jej współużytkownikowi, a następnie potraktowania tegoż "siłom i godnościom osobistom". Otóż, taksówkarz ów dowozi nas na wskazane miejsce bezbłędnie, tanio, najszybszą możliwą drogą, a przy tym (o dziwo!) bezpiecznie. Wobec istnienia dokładnie żadnego słowa wspólnego jemu i nam pojmuje nasze intencje bez trudu, a nawet prowadzi z nami rozmowę (polecam korzystać w tym celu z języka ojczystego, w naszym przypadku polskiego, albowiem rozmowa taka jest wymianą czystych emocji, nie do oddania w mowie wyuczonej). Niemniej, zanim - wygodnie umoszczeni w aucie - oddamy się kontemplacji obcego nam krajobrazu, musi upłynąć kilka minut podczas których dzieje się "nie wiadomo co". Kierowca najpierw zdaje się odmawiać naszej prośbie, potem długo nad czymś zastanawia, niekiedy gdzieś dzwoni… Kręci głową, to znów wykonuje uspokajające gesty. Sprawia to wrażenie, jakby szczery Chińczyk nie był w stanie "tak po prostu" podjąć jakiejkolwiek aktywności - nawet najdrobniejsza czynność musi być poprzedzona 'wstępem", który zbija nas z pantałyku z początku, staje się uroczy po jakimś czasie.

AMERYKA

Nabrawszy doświadczeń na Wschodzie, w podróż do Ameryki (dwa lata temu Kanada, w minionym doszły do tego Stany) wybierałem się z przekonaniem, że nic dziwnego spotkać mnie nie może. Kraje to wszak właściwie europejskie, przez Europejczyków założone i na ściśle europejskich ideach oparte (filozofia Johna Locke'a, Oświecenie francuskie…). Prawda! - ideach u nas zrealizowanych jedynie częściowo, gdyż mierzyć musiały się z całym bagażem zastanej tradycji politycznej; tam napotkały tereny dziewicze, gotowe przyjąć strukturę polityczną z góry założoną, która szybko wydała owoce w postaci własnych, nieco różnych niż w Starym Świecie form społecznej organizacji. Niemniej, zawsze to przecie nasze dziedzictwo, myślałem. Pierwszym szokiem było spotkanie z kanadyjskim przedmieściem. Do złudzenia przypominające obrazy znane z filmów i seriali "made in USA", przerażało rozległością terenu, na którym jedynym znakiem rozpoznawczym okazuje się nazwa ulicy oraz numer domu jednorodzinnego. Pewne różnice dadzą się zauważyć pomiędzy przydomowymi ogródkami, niemniej przybysz z daleka znajduje raczej ich cechy wspólne niż subtelne dystynkcje. Szok przestrzenny powiększa się gdy pojedziemy do "centrum" (downtown). Kąt prosty zdaje się chodzić za nami krok w krok, wyglądać zza każdego narożnika, groźnie strzec porządku na skrzyżowaniach, wreszcie - prześladować. Skwery, place, parki, zaułki, urocze uliczki i wielkie arterie: wszystko zbudowane na schemacie znanym z Sim City, niezależnie od tego czy mamy do czynienia z drapaczem chmur czy ceglaną kamienicą czynszową, dziewiętnastowieczną pozostałością robotniczego Toronto czy ciągle powiększającym się "manhattanem" szklanych domów. Nieodłącznym towarzyszem miary dziewięćdziesięciu stopni okazuje się perspektywa - jak duże miasto by nie było, odczuwamy dziwnie w tym kontekście klaustrofobiczną pewność, iż spojrzawszy "w dół ulicy" spostrzeżemy na jej dalekim krańcu… horyzont! Stwarza to niezapomniane wrażenie rozrośniętego do gigantycznych rozmiarów miasteczka z westernu, z jego wędrującym po ziemi krzakiem i poczuciem pewnej prowizoryczności, podniesionej skalą wydarzenia do poziomu karykatury. Szokuje również różnica mentalna, zwłaszcza w Stanach wyraźnie zauważalna i wzmacniająca dziwne wrażenie "klaustrofobii" wywołanej otwartością. Wszyscy są mili. Ujmująco mili. Nadspodziewanie mili. POTWORNIE mili. Pani w sklepie pyta mnie "jak minął dzień?" a ja, jak idiota, zaczynam opowiadać - pani nader sympatycznie nie słucha mojej odpowiedzi. Napotkani Amerykanie pytają mnie "co robię w Colorado?", więc mówię, że przyjechałem na zawody wspinaczkowe. "Gratuluję!" - pada nieoczekiwana odpowiedź. "Nie ma czego, czterdziesty siódmy byłem…", szepczę nieśmiało. "Gratuluję, że wziąłeś udział!!!". Miłe? Miłe. Jednocześnie sprawiające wrażenie, że nikogo tak naprawdę nie obchodzi ani twoja osoba, ani twoje przygody, ani twój nastrój, ani w ogóle nic co się z tobą wiąże. Po jakimś czasie świ-

ta ci, że większość tych dialogów ma charakter czysto formalny, że przez swoją wylewną kordialność tylko swój naskórkowy charakter podkreślają, a w konsekwencji… zaczynasz czuć się duszno w swoim samotnym świecie, dookoła którego wirują uśmiechy i uściski dłoni w żaden sposób nie docierające do ciebie samego, twoich zmartwień i prawdziwych radości. Że przypadkowo zagadnięty przy piwie jegomość, który u nas ochoczo przyjąłby na swoje barki chociaż odrobinę twojego rozczarowania po nieudanym występie, może podzielił się własnym kłopotem, w każdym razie jakoś ci ulżył, tutaj skryje się za szczelną gardą przybieranej automatycznie pozy, spoza której nie dostrzeżesz prawdziwej twarzy człowieka. "Bóg dla wszystkich, każdy dla siebie!", jak mawia mój serdeczny przyjaciel. Zarazem Ameryka zachwyca, przede wszystkim przestrzenią. Lecąc nad Stanami spoglądamy na ciągnące się przez setki mil tereny nie tylko nie zamieszkane (W OGÓLE nie zamieszkane), ale i takie, o których moglibyśmy uwierzyć iż nie zdeptała ich ludzka stopa. Ogrom tej przestrzeni daje niezwykłe poczucie wolności, dzikości i możliwości zarazem, pozwala głębiej nabrać w piersi powietrza i kto wie, czy nie stanowi ukrytej, obok oczywistych względów praktycznych, przyczyny otwarcia amerykańskich ulic na ginącą we mgle siną dal. Nie zdziwiłaby mnie sugestia jakiegoś antropologa kultury, że w ten sposób celebrują Amerykanie istotę swojego państwa, które jest przecież państwem najpierw kolonizatorów, a potem traperów - ludzi, których stworzyła (jako naród!) rozciągająca się "po nikąd" pusta przestrzeń.

EUROPA

Dopiero z oddali innego kontynentu czuje się człowiek naprawdę Europejczykiem, kiedy wszystkie dramatyczne różnice, które jeszcze do niedawna wpędzały nas w kompleksy wobec Francji czy Anglii, bledną wobec znacznie teraz wyraźniejszych podobieństw. Nasze poranne kawy (czy wiecie, co to jest amerykańska kawa!?), nasze kręte uliczki, nasze zaułki i skwery, nasze kamieniczki, nasze zabytki, nasze kościoły, nasze małe ksenofobie - z oddali układają się w spójną mozaikę, której na imię: "Stary Świat". Jest to świat naprawdę stary, którego dziedzictwo odróżnia się z jednej strony od zupełnie odmiennego dziedzictwa Wschodu (jakkolwiek po Rewolucji Kulturalnej nie tak wiele z tego dziedzictwa w Chinach pozostało, przynajmniej na poziomie namacalnych artefaktów), z drugiej - od młodości "świata nowego", nieświadomie odkrytego przez pewnego dżentelmena z Genui. Wędrując po geometrycznych ulicach tego ostatniego, mogę swobodnie dzielić moje zdziwienie z mieszkańcem dowolnego europejskiego kraju, równie silnie jak ja przywiązanego do nieco innych rozwiązań architektonicznych. Co ciekawe, mogę z nim również dzielić osobliwy stosunek do charakterystycznego, amerykańskiego stylu w routesettingu, lubującego się w kręceniu obwodów na miejsce balderów oraz znajdującego dziwną dla nas rozkosz w solidnych krzyżach na samych rękach... Wędrówka po europejskich lokacjach Pucharu Świata staje się wędrówką po bliskiej

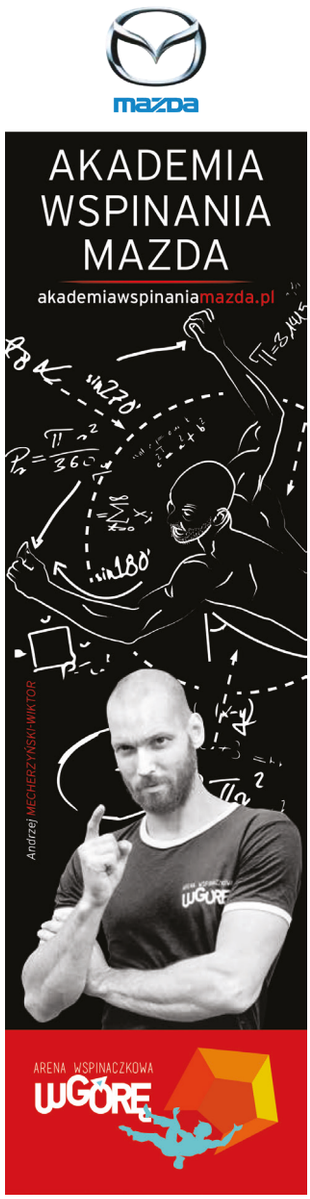

okolicy, co odczuwamy w pierwszym rządzie gdy przyjdzie podsumować opłaty za transport. Europa okazuje się naprawdę małym zakątkiem globu, wzbudzającym śmiesznie czułe uczucie przywiązania. Wizyta w monachijskiej galerii obrazów (słusznie zachwycał się nią kiedyś młody Chopin) umacnia nas w przekonaniu o własnej kulturowej tożsamości, nawet jeśli to nie Polacy są autorami wiszących tam dzieł sztuki. Niezależnie od podróżniczych doświadczeń wizyta ta wymaga kilku słów osobnego omówienia. Monachijska "pinakoteka" dzieli się na trzy części, każdej przeznaczono osobny budynek. W "Pinakothek der Moderne" nie byłem, więc słowa na jej temat powiedzieć nie mogę; wiszą tam płótna najbardziej współczesne, pewnie zresztą nie tylko płótna i pewnie stosowną wycieczkę odbędę podczas tegorocznego pobytu w Bawarii. "Neue Pinakothek" ("neue" czyli "nowa") myli nas swoją nazwą, albowiem jest to nazwa stara, zaś znajdujące się tam wytwory ducha pochodzą z wieku dziewiętnastego. Najsłynniejszym z nich są pewnie owe słoneczniki Van Gogha (bodaj najznamienitsza z kilku wersji), którym żadna reprodukcja nie potrafi oddać sprawiedliwości. Trzeba samemu stanąć przed tym obrazem, a następnie przed długie chwile pozwolić uwodzić się nieodpartemu złudzeniu namacalności, które wywołuje skandalicznie grubo nałożona farba. Pokonać pokusę dotknięcia powierzchni płótna celem przekonania się, czy na wpół zeschły słonecznik przypadkiem nie zaszeleści nam pod palcami. Niemal poczuć w nozdrzach zapach żółtych kwiatów zaklętych na zawsze w olejnym wazonie, a przecież wciąż żywych i przez to jakże realnie ulotnych… Nie radzę łączyć tej wycieczki z odwiedzinami w trzeciej pinakotece - "Alte Pinakotheke", czyli pinakotece "starej", gdzie pomieszczono rzeczy wcześniejsze. Abstrahując od praktycznej głupoty pomysłu zwiedzania dwóch muzeów jednego po drugim, trudno byłoby nam znaleźć w imaginacji miejsce na wszystkie egzaltowane operacje związane z "czytaniem" "Słoneczników", jeśli chwilę wcześniej traciliśmy inne pół godziny na dociekaniu jak drzewa malowane przez Jana Brueghela mogą być prawdziwsze od… prawdziwych. Najprzyjemniej byłoby spędzić w Monachium tydzień, wycieczkami "na obrazki" uprzyjemniając sobie leniwe popołudnia. Napięty kalendarz zawodnika pozwolił mi niestety na pojedyncze wizyty w dniach poprzedzających zawody z dwóch minionych lat. Ale ostrzę sobie zęby na więcej.

W ten sposób wędrówki za pucharowymi punktami umocniły we mnie tożsamość Europejczyka, który u zarania XXI wieku nie jest już kolonialistą, tylko po prostu sobą. Tegoroczny kalendarz, jeśli uda się go w pełni zrealizować, obiecuje nowe ciekawe wycieczki: Japonia i Indie pojawiły się na pucharowej mapie, poszerzając tym samym paletę możliwości o kolejne krainy "z których pochodzi mądrość". Swoją drogą, gdybym z nadchodzących podróży miał przywieść jej chociaż trochę, byłaby to niezgorsza nagroda za kolejny rok treningów.

wspinanie.pl

serwis wspinaczkowy

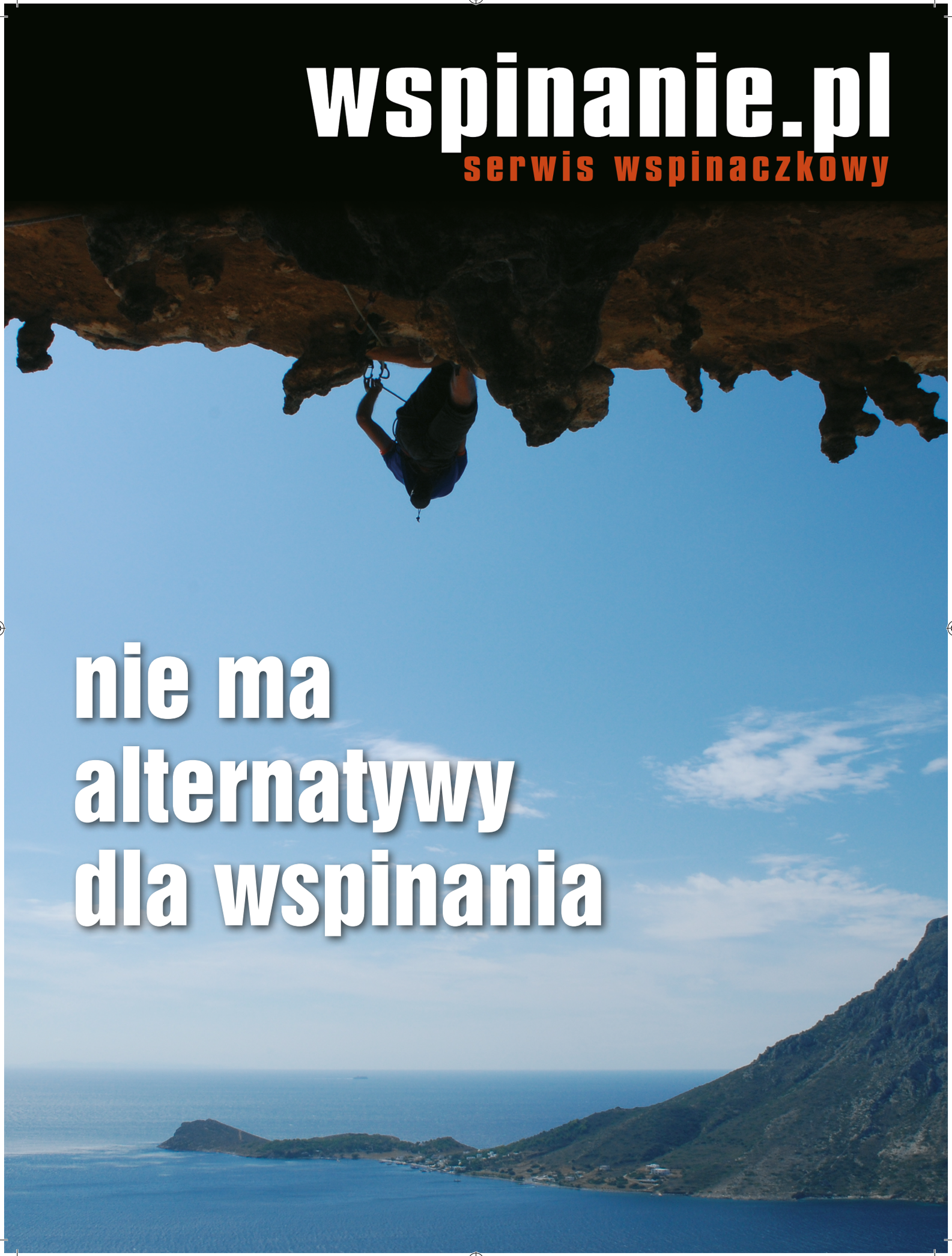

nie ma alternatywy dla wspinania

NAJLEPSZE RZECZY W ŻYCIU MAMY ZA NIC. PIESZO PRZEZ SALAR DE UYUNI.

MATEUSZ WALIGÓRA

„Widzisz tę górę na horyzoncie? To Tunupa. W dawnych czasach była kobietą, która poślubiła Kusku. Ten jednak opuścił ją by żyć z inną. Z Kusina. Tunupa karmiąc ich dziecię piersią, pełna cierpienia zaczęła płakać. Jej łzy zmieszane z mlekiem wypełniły to miejsce tworząc wielką pustynię – Salar. Proste prawda?" Alfredo od 26 lat mieszka na wyspie Incahuasi pośrodku największej solnej pustyni świata. Dla niego, podobnie jak dla innych przedstawicieli rdzennej grupy mieszkańców Aymara, miejsce to zawsze będzie nosiło nazwę Salar de Tunupa. Pełne mistycyzmu, z pogranicza legend i tradycyjnych wierzeń, nikogo nie pozostawia obojętnym. Może dlatego byłem tu już po raz drugi?

Tylko Tyle? Aż Tyle!

Gdy poprzedniego dnia opuszczałem niewielką wioskę Llica mieszkańcy wychodzili na progi swych skromnych domostw zwabieni egzotycznym widokiem Gringo ciągnącego za sobą wózek. Dla nich zdawało się być niepojęte, że ktoś z własnej woli chce przejść pieszo przez Salar de Uyuni. Dla mnie był to początek kolejnej przygody, która miała zakończyć się po niemal stu siedemdziesięciu kilometrach i około dziesięciu dniach. Cel? Samotne przejście największej solnej pustyni świata. Z całym bagażem ciągniętym za sobą – bez pomocy kogokolwiek. Po co? W czasach, gdy przed podjęciem jakiejkolwiek decyzji zadajemy sobie pytanie: „czy mi się to opłaci?", nie miało to najmniejszego znaczenia. Liczyła się tylko wizja bezkresnej bieli soli spotykającej się na horyzoncie z niewiarygodnym błękitem nieba. Tylko tyle? Aż tyle!

Medytacja. Dzień za dniem.

Poranek przywitał mnie słońcem. Jego ciepłe promienie pozwalają mi rozgrzać skostniałe dłonie i rozpalić kuchenkę. Dopiero po pierwszych łykach słodkiej herbaty odważam się rozpiąć zamek śpiwora. Noc była zimna, tropik pokrył szron. Po kilku łyżkach musli z mlekiem zakładam na stopy zamarznięte buty i pakuję cały ekwipunek. Mam ze sobą ciepły puchowy śpiwór, który zapewnia mi komfort w temperaturach spadających do -40 stopni Celsjusza, odporny na huraganowe podmuchy wiatru namiot, trochę jedzenia i sześć dziesięciolitrowych worków wypełnionych wodą. Na boliwijskim Salar de Uyuni nie ma możliwości zaczerpnięcia jej z jakiegokolwiek źródła. Z tego też powodu całość bagażu transportuję na specjalnie przygotowanym wózku ciągniętym za sobą. Wykorzystuję w nim koła wyposażone w bardzo szerokie opony – dokładnie te same, na których udało mi się przejechać szlak Canning Stock Route w Australii Zachodniej – prawdopodobnie najtrudniejszą drogę wytyczoną na ziemi. To właśnie na antypodach zaraziłem się pasją przemierzania pustyń. Ich niezmąconą ciszą i niespotykanym spokojem. Właśnie taki jest Salar de Uyuni. Gdy nie doskwiera mi wiatr, cisza zdaje się być absolutna, a przerywa ją jedynie dźwięk chrupiącej pod stopami soli. Trzeszczy, aż

miło. Gdy podróżujesz pieszo, kolejne kroki zdają się wyznaczać monotonny rytm, którego uzupełnieniem są dziesiątki myśli wypełniających głowę. Marsz nieuchronnie zamienia się w medytację. Od wschodu, aż do zachodu słońca. Dzień za dniem.

Czwartego dnia od wyruszenia z Llica docieram na wyspę Incahuasi, gdzie wita mnie jej pierwszy stały mieszkaniec – Alfredo. To on opowiada mi miejscową legendę. Ta niewielka skalna wysepka pośród morza soli, była niegdyś wierzchołkiem wulkanu. Porastają ją setki kaktusów, z których najstarsze były w tym miejscu już wtedy, gdy Mieszko chrzcił Polskę. Ze szczytu wyspy roztacza się UNIKALNY widok. Widziałem już solniska w różnych częściach świata: w Australii, Chile, czy Argentynie, ale to miejsce przyćmiewa je wszystkie swym ogromem. Salar de Uyuni stanowi wraz z jeziorami Titicaca i Poopo pozostałość po gigantycznym, istniejącym w plejstocencie jeziorze Ballivian. Jest jednym z najbardziej płaskich obszarów na świecie, różnica wzniesień wynosi tu zaledwie 41 centymetrów. Z tego powodu bardzo często wykorzystywany jest do dokładnej kalibracji urządzeń GPS. Gdy w okresie boliwijskiego lata pokrywa go cieniutka warstwa wody staje się największym naturalnym lustrem na ziemi, a złudzenie braku horyzontu potrafi już na stałe przedefiniować znaczenie słowa NIEWIARYGODNE u wszystkich, którzy mają okazję przebywać wówczas w tym miejscu.

Najlepsze rzeczy w życiu mamy za nic!

Salar bywa też zdradliwy. Już na starcie zaakceptowałem podejmowane ryzyko – cokolwiek mnie spotka, muszę sobie z tym poradzić. Realnej drogi ewakuacyjnej brak, a wydarzyć morze się naprawdę wiele. Nawet w trakcie zimy, gdy pogoda zdaje się być stabilna wszystko może zmienić się w przeciągu kilku godzin. Teoretycznie nie ma szans na burzę śnieżną. Pewnie dokładnie tak samo myślała para rowerzystów, odnaleziona martwa w 2002 roku. W przypadku załamania pogody nie mogę liczyć na żadne naturalne elementy krajobrazu, które zapewnią mi schronienie. Z obserwatora niezwykłego spektaklu natury stanę się momentalnie jego głównym aktorem. Smutna to myśl. Podobnie jak te, które uporczywie towarzyszą mi w trakcie pierwszych kilometrów po opuszczeniu kaktusowej wyspy. Doceniam otaczający mnie spokój. Spokój ducha, gdy nikt nie wciska mi kitu, że koniecznie muszę sobie kupić nowy telewizor, a zdrowie i szczęście zapewni seria suplementów diety. Moim jedynym suplementem jest poranna dawka silnego środka przeciwbólowego w tabletce i wcale mnie to nie uszczęśliwia. Poza tym: „Najlepsze rzeczy w życiu mamy za nic. Za darmo! Nie wiesz? Masz serce pobrudzone czarną farbą"[1] Tego wieczoru odnajduję w warstwie soli spore pęknięcia wypełnione wodą. Wzbudzają mój lęk choć wiem, że jest dosyć irracjonalny. Pod stopami mam solną skorupę grubą na kilkanaście metrów. Wytrzymuje pędzące po jej powierzchni samochody terenowe, wytrzyma więc też mój namiot. I choć logika zdaje się być dobrym doradcą, to każde uderzenie młotka w główkę stalowego gwoździa – jedynej rzeczy, która jest w stanie przebić się przez twardą jak beton sól zabezpieczając mój namiot, wykonuję niezwykle starannie. Nocą pomimo szczy-

piącego mrozu wychodzę na zewnątrz. Widok drogi mlecznej rozdzierającej nieprzenikniony granat nieba sprawia, że zapominam o strachu. Fotografuję. Jestem szczęśliwy.

Gdy od końca wędrówki dzieli mnie kilkadziesiąt kilometrów, coraz częściej widzę na horyzoncie terenówki gęsto upakowane turystami. To właśnie one zdają się być dla mnie największym zagrożeniem, szczególnie wówczas gdy biwakuję. Boliwijscy kierowcy nie przywiązują wielkiej uwagi do bezpieczeństwa jazdy, co doprowadza do wielu bolesnych tragedii. Siedem lat temu Salar de Uyuni pojawił się w niemal wszystkich nagłówkach prasowych w Izraelu i Japonii. Jedenaście osób pochodzących z tych krajów zginęło w czołowym zderzeniu dwóch samochodów terenowych. Surową ciszę pustynnej nocy nie po raz pierwszy rozdarł dźwięk miażdżonej karoserii i wybuchających butli z gazem. Czy ten straszny wypadek zmienił cokolwiek w sposobie prowadzenia wypraw na Salar? Nic. Władze nieodległego miasteczka Uyuni postawiły pamiątkowy postument, a 10 bilionów ton soli nadal pozostaje cichym świadkiem dramatycznych wydarzeń.

Podróżować, aby nie dotrzeć nigdy.

Z medytacji wyrywa mnie dźwięk opuszczanej szyby i trzask migawek. Jedna z wielu grup postanawia uwiecznić mnie w pamięci swoich telefonów. Bez powitania. Bez żadnego słowa. Bez sensu. „Chciałbym wierzyć, że jeszcze kogoś to obchodzi, że świat to już nie tylko kawy w kubku i iPhony”[2]

Ostatnie dwa dni marszu przychodzą mi z wielkim trudem. I nie chodzi o poranione przez silnie operujące słońce usta czy pęcherze pokrywające stopy. Nawet wysokość, na której przyszło mi wędrować, przekraczająca 3500 metrów nad poziomem morza nie stanowi problemu. Zaledwie kilkanaście dni wcześniej stałem na szczycie sześciotysięcznika, jestem doskonale zaaklimatyzowany. Problemem jest nieuchronnie zbliżający się koniec Salaru. Z pustyniami już zawsze będzie łączyć mnie szczególna więź. Zastanawiam się tylko, czy możliwym jest by: *„Podróżować nie po to, aby dotrzeć do celu, lecz aby dojechać jak najpóźniej, aby nie dojechać, o ile to możliwe, nigdy”*[3] Wierzę, że tak.

www.nakrancach.pl

1 Eldo – „Miasto słońca”
2 Eldo – „Rybałci”
3 Claudio Margis – „Podróż bez końca”

Shot of location at the Refugio Frey, Argentina. Photographer: Fisher Creative

GUARANTEED TO KEEP YOU DRY
GORE-TEX PRODUCTS

Introducing the Liquid PointShell
Engineered with GORE-TEX®

LIQUID POINT SHELL

Black Diamond®

BlackDiamondEquipment.com

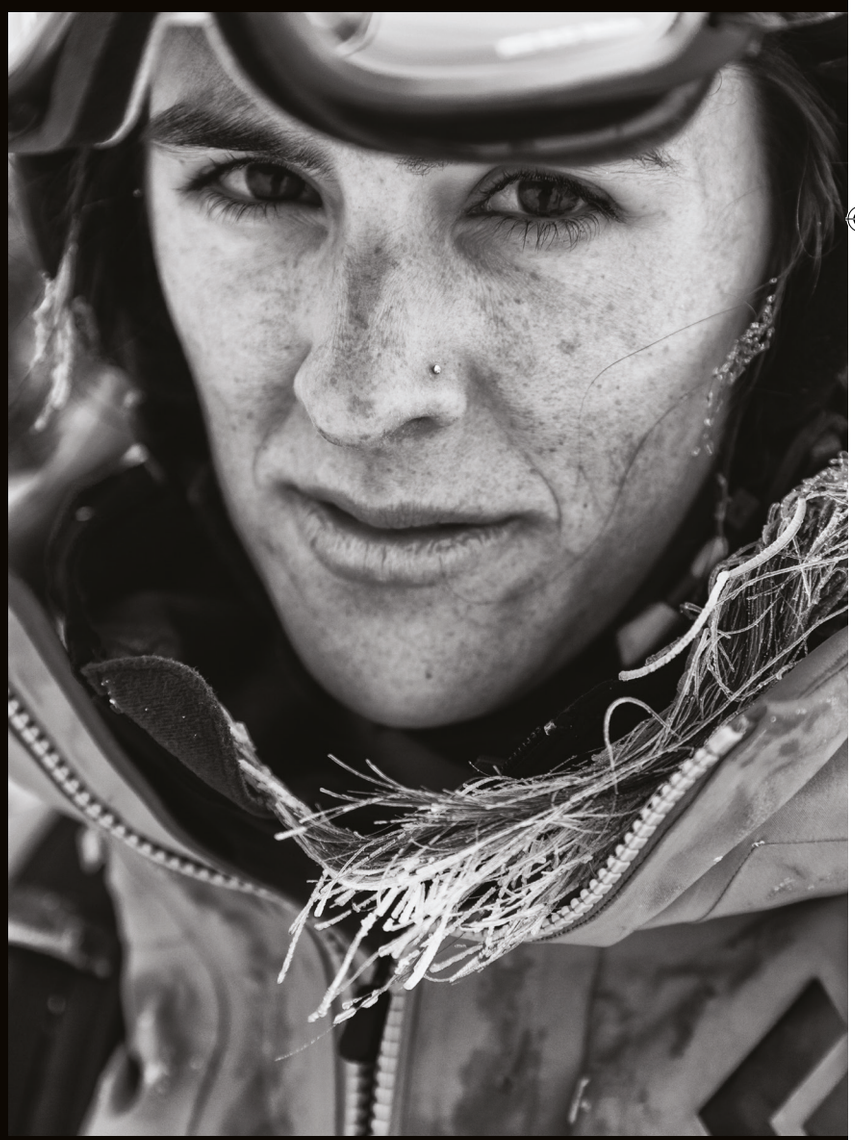

GORE-TEX®, GUARANTEED TO KEEP YOU DRY®, GORE® and designs are trademarks of W. L. Gore & Associates, Inc.

PROSTA ROBOTA

PK

To prosta praca. Przez osiem godzin dziennie patrzysz na morze. Robisz swoje, odbębniasz wachtę, potem masz czas dla siebie. Śpisz, jesz, ćwiczysz. Nie martwisz się o jedzenie, zakupy, zmywanie czy płacenie rachunków. Kucharz szykuje ci posiłki, mess boy podaje do stołu, Filipińczycy z załogi kłaniają się i mówią do ciebie „sir". Wszystko fajnie, dopóki nie pojawią się piraci…

Łódź zazwyczaj najpierw widać na radarze – mały, żółty punkcik gdzieś na obrzeżach ekranu. Samo w sobie nie jest to jeszcze podejrzane, w końcu morze to miejsce, gdzie należałoby się łodzi spodziewać. Można zacząć się niepokoić, gdy kropka na radarze gwałtownie przyspiesza, zmienia kurs, kierując się prosto na statek, dziwnie manewruje. Rybacy tak się nie zachowują.

Przez lornetkę można dostrzec cokolwiek dopiero z odległości kilku mil, gołym okiem – z mili, może dwóch. Taką odległość skiff – wąska, szybka łódź używana przez somalijskich piratów – pokonuje w niecałe pięć minut. Najwyższa pora, by ogłosić alarm, ubrać hełm i kamizelkę oraz wyciągnąć ze skrzyni broń.

O somalijskich piratach zrobiło się w Polsce głośno, gdy w 2008 roku porwali tankowiec „Sirius Star" z polskim kapitanem na pokładzie. Ale piracki proceder w pobliżu Rogu Afryki zaczął się na wielką skalę znacznie wcześniej, gdzieś w okolicach przełomu tysiącleci. Wojna domowa, która trwa w Somalii od pierwszej połowy lat 90' ubiegłego wieku, oprócz najoczywistszych skutków sprzyjających rozwojowi piractwa, takich jak bieda, upadek struktur państwowych i duża liczba młodych mężczyzn z bronią, którzy nie mają co robić, spowodowała również, że wielkie firmy zaczęły traktować wody terytorialne upadłego państwa jako ogromne śmietnisko, na którym bezkarnie i za darmo mogły spuszczać ze statków toksyczne odpady. Zanieczyszczenia wywołały masowe ginięcie ryb, co z kolei pozbawiło miejscowych rybaków zarobku. Ponieważ rybacy, jak wszyscy mężczyźni w Somalii, byli uzbrojeni i przyzwyczajeni do stosowania przemocy, na pierwsze incydenty nie trzeba było długo czekać.

Z początku rybacy próbowali tylko przepędzać obce statki z okolic wybrzeży Somalii, ale szybko wpadli na pomysł, że przy okazji można je porywać i brać za nie okup. Liczba ataków zaczęła gwałtownie rosnąć, a piraci w poszukiwaniu łupu zaczęli zapuszczać się coraz dalej i dalej, aż w końcu operowali na całej północnej części Oceanu Indyjskiego - od Madagaskaru i Egiptu, aż po wybrzeże Indii. Najbardziej aktywni byli jednak w Zatoce Adeńskiej, oddzielającej ocean od Morza Czerwonego, przez którą przepłynąć musiał każdy statek wiozący do Europy ropę z Zatoki Perskiej albo towary z Chin.

Z odległości mili widać już ostry kształt pirackiej łodzi, tnący wodę i zostawiający za sobą białą smugę piany. Statek rozpoczyna manewry - gwałtowny skręt w lewo, potem gwałtowny w prawo, raz za razem, co wywołuje falę i utrudnia piratom podejście. Rozbrzmiewa syrena okrętowa, to sygnał „będziemy się bronić". Uruchamiane są węże przeciwpożarowe i armatki wodne, tworząc wokół statku gęstą kurtynę wody. Załoga gromadzi się w punkcie zbiórki, skąd może szybko przejść do cytadeli – miejsca na statku, w przygotowanego, by w nim się zabarykadować i czekać na pomoc, w razie gdyby piraci zdobyli jednak statek. Ale do tego nie dojdzie. Bo na pokładzie jest uzbrojona ochrona.

Wkrótce piractwo zaczęło przynosić międzynarodowej gospodarce straty wysokości niemal 7 miliardów rocznie, a jedna z głównych tras handlowych świata stała się też jedną z najniebezpieczniejszych. W 2008 roku piraci przeprowadzili 111 ataków, z czego 42 zakończyły się uprowadzeniem statku. Cywilizowany świat odpowiedział całą swoją potęgą – wiele państw wysłało w rejon okręty wojenne. Pod koniec 2008 roku rozpoczęła się zarówno misja NATO, jak i unijna operacja „Atalanta". W Zatoce Adeńskiej utworzony został specjalny korytarz dla przepływających tamtędy statków, ochraniany i patrolowany przez marynarkę wojenną.

Ale choć siłom zbrojnym udało się zatopić kilka pirackich łodzi, pojmać kilku piratów i uwolnić kilka porwanych statków, to jednak ich obecność nie wpłynęła znacząco na poziom piractwa. Piraci szybko nauczyli się unikać okrętów wojennych, a jeśli już w żaden sposób uniknąć się nie dało wyrzucali broń do wody i udawali rybaków. Nic im nie można było udowodnić, o ile ktoś nie złapał ich na gorącym uczynku.

Aż w końcu ktoś wymyślił, że na kilku wychudzonych Somalijczyków z zardzewiały-

mi kałachami na drewnianych łódkach, nie trzeba wartego miliardy dolarów niszczyciela wyposażonego w działa, systemy rakietowe, zautomatyzowane systemy kierowania ogniem i pancerz odporny na ostrzał artyleryjski. Wystarczy trzech czy czterech wyszkolonych ludzi z bronią na każdym statku.

Widzieliście „Kapitana Phillipsa"? Pamiętacie scenę, w której piraci wchodzą na pokład Maersk Alabama? Jak podpływają, manewrują, by uniknąć wody lejącej się z przeciwpożarowych węży, jak zaczepiają drabinę o burtę, wspinają się po niej i biegną na mostek? A teraz wyobraźcie sobie, że przez cały ten czas, cztery-pięć pięter nad nimi, na mostku, mając ich jak na talerzu, stoi kilku ludzi z karabinami. I jak, wyobraziliście sobie? No,właśnie.

Firmy oferujące ochroniarzy zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu. Z początku wszystko to działało na wariackich papierach. Broń kupowano w krajach trzeciego świata, często w samej Somalii i zazwyczaj nielegalnie. Dostarczano ją na statek na wodach międzynarodowych, a przed osiągnięciem portu przeznaczenia wyładowywano ją albo i wyrzucano do morza. Ochroniarze często tylko tym różnili się od piratów, że byli biali i po przeciwnej stronie barykady.

Potem pomału zaczęły pojawiać się regulacje prawne, instrukcje, przepisy, zasady użycia broni i instytucje szkoleniowe. W głównych portach regionu powstały zbrojownie, w których przechowywana jest broń i amunicja, wszystko zarejestrowane, ponumerowane i tak legalne, że bardziej nie można. Prezesi firm chodzą w garniturach i mają biura w szklanych budynkach w centrach wielkich miast, a dowódca każdego teamu wchodzi na statek z teczką pełną kwitów, rejestrów i deklaracji.

Kiedy skiff jest już zaledwie kilkaset metrów od burty można dostrzec co znajduje się na jego pokładzie. Jest jedna rzecz, która ostatecznie rozwiewa wątpliwości czy mamy na pewno do czynienia z piratami, a nie na przykład z rybakami, którzy desperacko próbują uratować swoje sieci, na które akurat płynie statek. I nie chodzi o broń, karabin na rybackiej łodzi w Afryce to nic szokującego. Ale jeśli na pokładzie są drabiny, to sprawa jest jasna. Do czego może służyć rybakowi na środku oceanu drabina?

Wciąż jeszcze ochronie nie wolno strzelać. Prawo zabrania. Otworzyć ogień można tylko w przypadku bezpośredniego zagrożenia życia, a to z grubsza oznacza tylko trzy sytuacje. Pierwsza: piraci zaczynają strzelać. Jasna sprawa – strzelają do ciebie, masz prawo odpowiedzieć. Druga: próbują wejść na pokład. Można się kłócić czy to aby na pewno bezpośrednio zagraża czyjemuś życiu, ale kiedy piraci będą już na statku, sytuacja zrobi się bardzo niebezpieczna, więc lepiej działać prewencyjnie. Trzecia: piraci mają granatnik przeciwpancerny. Nie muszą z niego strzelać, granatnik zagraża twojemu życiu nawet, gdy leży sobie spokojnie na dnie łodzi.

Trzy nacje zdominowały branżę ochrony morskiej – Anglicy, Hindusi i Polacy. Anglicy są profesjonalni i dobrze wyszkoleni, Hindusi tani, a Polacy łączą w sobie wszystkie te zalety, dodając do tego jeszcze typowo polską zdolność do twórczego improwizowania i odnajdywania się w każdych okolicznościach.

Na dodatek gwałtowny rozwój branży nastąpił mniej więcej w czasie, kiedy z Wojska Polskiego zaczęli masowo odchodzić pierwsi szeregowi zawodowi, którym skończyły się dwunastoletnie kontrakty. Dobrze wyszkoleni, z doświadczeniem z misji zagranicznych i nie potrafiący niczego oprócz żołnierki, mieli do wyboru albo zaczynać wszystko od nowa albo znaleźć pracę, w której przydadzą się zdobywane latami umiejętności. Część ochrania więc pola naftowe w Kuwejcie albo lotnisko w Kabulu, część znalazła zatrudnienie jako bodyguardzi VIP'ów, a część zaoferowała swe usługi firmom zajmującym się ochroną statków. W środowisku byłych żołnierzy to ostatnie zajęcie cieszy się opinią pracy prostej, łatwej i przyjemnej – na morzu nic nie dzieje się gwałtownie, nikt nie wyskoczy nagle z karabinem zza węgła, nie zorganizuje zasadzki, ani nie podłoży miny-pułapki na trasie statku. Łatwizna.

Piracki skiff jest już na tyle blisko, że można zobaczyć twarze załogi. Broni nie widać – albo jej nie mają albo sprytnie ukryli. Strzelać więc do nich nie można, wciąż istnieje szansa, że to tylko rybacy. Ale można oddać strzał ostrzegawczy. Prosta sprawa, wydawałoby się, ale wymaga dobrego wyszkolenia i sporej finezji. Na morzu, gdzie brak jakichkolwiek punktów odniesienia, trudno ocenić odległość, łódź mknie, podskakując na falach, statek się kołysze – drobny błąd i pocisk zamiast obok łodzi, wyląduje w niej. A za strzelanie do ludzi, którzy nie strzelali do ciebie, możesz trafić na parę lat do więzienia. I będziesz mieć szczęście jeśli będzie to więzienie w Europie, a nie w Kenii albo Indiach.

Większość dużych armatorów wynajmuje tylko firmy ochroniarskie oferujące usługi byłych żołnierzy lub policyjnych antyterrorystów – ludzi wyszkolonych, obytych z bronią, z doświadczeniem ze stref wojennych. Ludzi, co do których można mieć pewność, że nie spanikują na widok uzbrojonych piratów ani nie zaczną w nerwach strzelać do rybaków. Wielkie firmy, te najlepiej płacące, wymagają wręcz, by ochroniarze służyli wcześniej w armii kraju należącego do NATO i byli na co najmniej jednej zagranicznej misji.

Pada strzał. Skiff natychmiast skręca, zawraca, zostawiając na wodzie szeroki łuk białej piany. Piraci wiedzą, że nie mają szans. Poszukają łatwiejszej ofiary. Na statku wszystko szybko wraca do normy. Ogłaszany jest koniec alarmu, załoga rozchodzi się do swoich zajęć. Ochroniarze rozładowują broń i chowają ją do skrzyń. Dowódcę czeka jeszcze trochę papierkowej roboty – trzeba opisać zdarzenie, zebrać zeznania świadków, wypełnić rejestr wystrzelonych pocisków. Potem wszystkie te dokumenty rozsyłane są do kilku różnych instytucji, dowództw działających w rejonie sił zbrojnych i do centrali firmy. Ktoś je będzie teraz analizował, nanosił na elektroniczne mapy, ujmował w statystykach.

Ale ochroniarzy na statku już to nie dotyczy. Schodzą do swoich kabin, a na mostku zostaje tylko jeden, którego wachta akurat trwa. Wraca do leniwego obserwowania horyzontu.

To dość prosta robota.

UGANDA NO PROBLEM

BARTŁOMIEJ KLOCEK

Poniższy artykuł jest zbiorem kilku spostrzeżeń i porad zebranych podczas trzytygodniowej podróży po Ugandzie. Kraj ten jest doskonałym miejscem dla kogoś, kto pragnie rozpocząć przygodę z Czarną Afryką. Głównym celem podróży były parki narodowe położone wzdłuż Wielkiego Rowu Afrykańskiego: Bwindi, Queens Elisabeth, Ruwenzori oraz Murchinson Falls.

TURKICH AIRLINES

Turecki przewoźnik w ostatnich latach uruchomił kilkadziesiąt egzotycznych połączeń, a lotnisko w Stambule stało się jednym z pięciu największych w Europie. Linia lotnicza za swój cel powietrznej ekspansji obrała również kontynent afrykański. W tym momencie samoloty ze Stambułu latają do ponad dwudziestu miast w Afryce m.in. do Entebbe, czyli głównego lotniska w Ugandzie, położonego 40 km na południe od stolicy Kampali.

Dzięki gęstej sieci połączeń z lotniskami europejskimi i afrykańskimi mamy szansę skorzystać z wielu promocji i zakupić bilet do serca Afryki w cenie poniżej 2000 zł. Lądując w Entebee po raz pierwszy, od razu mamy wrażenie, że znaleźliśmy się w innym kręgu cywilizacyjnym. Już sam widok słabo oświetlonego lotniska i okolicznych miejscowości powoduje, że pojęcie „Czarna Afryka" nabiera nowego znaczenia. Po wyjściu z samolotu nie czeka na nas żaden autobus, przechodzimy piechotą po płycie pustego lotniska do terminalu. Kierujemy się do kontroli celnej, płacimy 100 $ za wizę i na tym kończy się zorganizowana część podróży. Po opuszczeniu lotniska zostajemy otoczeni przez kilkunastu miejscowych taksówkarzy, którzy za niedorzecznie wysokie stawki proponują nam przejazd do najbliższej miejscowości. Tutaj warto wykazać się sporą asertywnością i odrzucić wszystkie zaproponowane oferty. Możemy być pewni, że po przejściu kilkudziesięciu metrów, podejdzie do nas jeden z taksówkarzy, który w ukryciu przed swoimi kolegami, zaproponuje nam właściwą cenę, czyli około 5$.

Stanowczość w Afryce przydaje się na każdym kroku. Nie powinniśmy pokazywać, że jesteśmy czegoś niepewni, bądź że znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. W przeciwnym razie napotkamy na kogoś, kto wzbogaci się na naszej niewiedzy. W Ugandzie, podobnie jak w wielu krajach o historii kolonialnej, biały człowiek postrzegany jest jako zamożny przybysz z północy, który może kupić wszystko i za każdą cenę.

NO PROBLEM

Uganda to była kolonia brytyjska. Anglicy przejęli kontrolę nad tym krajem na ponad 60 lat wprowadzając m.in. lewostronny ruch drogowy, plantacje herbaty oraz zamiłowanie do piłki nożnej. Do dnia dzisiejszego Ugandyjczycy z większym zainteresowaniem oglądają mecze Chelsea Londyn i Manchester'u United od eliminacji Pucharu Afryki. Anglicy, podobnie jak Francuzi czy Holendrzy, w ostatnim dwudziestoleciu powrócili na swoje postkolonialne terytoria wprowadzając zewnętrzne korporacje. W przypadku Ugandy działalność ta dotyczy przede wszystkim intratnego sektora medycznego, bankowego oraz rafineryjnego. Anglicy pozostawili po sobie również swój język, który obecnie jest drugim po suahili językiem urzędowym. Miejscowi, gdy tylko zobaczą białego w swoim pobliżu, starają się mówić po angielsku. Sytuacja jest dość zabawna ponieważ miejscowy dialekt jest mieszaniną tekstów pochodzących z piosenek reggae i amerykańskich teledysków. Podstawowa znajomość angielskiego wśród miejscowych bardzo pomaga w podróżowaniu po kraju. Z łatwością możemy zadać najprostsze pytania typu where & when i uzyskać odpowiedź. Należy przy tym pamiętać, żeby takie pytania zadać przynajmniej kilku napotkanym osobom i wyciągnąć jedną, w miarę obiektywną informację. Afrykańczycy mają to do siebie, że rzadko przyznają się do swojej niewiedzy. Za wszelką cenę starają się pomóc białemu, nawet wtedy gdy nie mają pojęcia o co pytamy.

BODA – BODA

W tej części Afryki możemy wyróżnić kilka rodzajów środka transportu publicznego. Najtańszym jest taksówka motocyklowa, określana mianem boda-boda. Motor hinduskiej produkcji posiada wydłużone siedzisko, czasem nachodzące na bak paliwa. Dzięki takim modyfikacjom jest w stanie przewieźć czteroosobową rodzinę. Motocyklowe taksówki są również bardzo pomocne dla turystów, ponieważ dzięki nim możemy dostać się w mało uczęszczane rejony bądź przemierzać drogi, które zostały zniszczone w czasie pory deszczowej.Najczęstszym środkiem komunikacji publicznej w Ugandzie są minibusy z napędem na cztery koła tzw. matatu. Te wiekowe samochody sprowadzone z Japonii są w stanie sforsować prawie każdą drogę. Podróż w nich wymaga jednak sporej wytrwałości. Są po dach wypełnione pasażerami, inwentarzem oraz towarem. Podróżując minibusem mamy najczęściej bagaż bądź czyjeś dziecko na kolanach, podkulone nogi i łokcie sąsiada skrzyżowane z naszymi. Popularnym środkiem transportu są dalekobieżne autobusy. Kursują między głównymi miejscowościami oraz stolicami sąsiednich krajów m.in. Ruandy i Kenii. Chcąc wyruszyć w drogę lokalnym autobusem musimy najpierw odszukać właściwy „dworzec autobusowy", ponieważ najczęściej jest ich kilka w zależności od kierunku podróży. Następnie wypytać o przybliżoną godzinę odjazdu i poczekać… aż wszystkie miejsca siedzące i stojące będą zapełnione.

PARKI NARODOWE

To główna atrakcja Ugandy. Dzięki położeniu nad równikiem i wzdłuż Wielkiego Rowu Afrykańskiego kraj ten posiada bogatą florę i faunę oraz bardzo zróżnicowany krajobraz. Na terenie Ugandy spotkamy wiele rzadkich zwierząt m.in. goryle górskie, trzyrogie kameleony oraz wszystkie gatunki kobry afrykańskiej.

To właśnie goryle górskie uczyniły z tego kraju cel wielu zorganizowanych wycieczek. Na terenie Ugandy żyje w sumie ponad czterdzieści goryli górskich, co stanowi połowę światowej

populacji tego gatunku. Goryle możemy oglądać w Parku Narodowym Bwindi oraz Mgahinga. Ponieważ parki ograniczają ilość odwiedzających turystów do 20 dziennie, bardzo trudno jest uzyskać pozwolenie na wejście do parku. Większość biletów jest zarezerwowana dla wycieczek, które korzystają z usług miejscowych agencji. Samemu *permit* możemy zdobyć jedynie przez pośrednika, kilka miesięcy przed przyjazdem do Ugandy. Poza trudnością w zdobyciu pozwoleń również samo przemieszczanie się po parkach nie należy do łatwych. Większość

odwiedzających podróżuje w grupach zorganizowanych, które płacą kilkaset dolarów za jeden dzień w parku. Samotnemu turyście pozostaje dogadanie się z miejscowym przewodnikiem, który zna wszystkich strażników, bądź przekupienie pilota safari.

MUAMMAR KADDAFIE

Prawie w każdej miejscowości w Ugandzie znajdziemy dwa kościoły i jeden meczet. Pierwszy to kościół katolicki, który powstał dzięki misjonarzom w drugiej połowie XX wieku m.in. za sprawą franciszkanów z Polski. Drugi to kościół protestancki należący do wspólnoty anglikańskiej bądź do jednego z kilkudziesięciu kościołów powstałych w tzw. pasie biblijnym w USA. Przebywając w Afryce na pewno nie raz napotkamy rozśpiewanych członków misji chrześcijańskich z USA. Amerykanie, najczęściej już na emeryturze, przenoszą się na kilka lub kilkanaście miesięcy do Afryki, żeby pomagać najuboższym. Budują szkoły, studnie i kościoły, edukują rdzennych mieszkańców w temacie zdrowia fizycznego i duchowego.

Islam w Ugandzie jest obecny od połowy XIX wieku. Największą popularność zyskał jednak w ostatnich dwóch dekadach, przede wszystkim dzięki wsparciu Muammara Kaddafiego. Ten libijski dyktator jest fundatorem większości meczetów powstałych w Ugandzie. Dzięki jego środkom powstał m.in. jeden z największych meczetów w Afryce, górujący nad Kampalą - Meczet Narodowy. Kaddafie często odwiedzał Ugandę w celach religijnych, biznesowych oraz miłosnych. Dyktator miał romans z księżniczką królewskiej rodziny Tooro, dla której wybudował majestatyczny pałac w miejscowości Fort Portal, na zachodzie Ugandy.

NAD WODĄ

W Afryce trzeba uważać na zwierzęta. W buszu na kobry i pawiany, w obrębie sawanny na samotne słonie i bawoły, nad wodą na hipopotamy i krokodyle. Najbardziej niebezpiecznym terenem są brzegi rzek i jezior. Tylko jedno jezioro w Ugandzie – Lake Bunyoni, położone na wyżynie, uważane jest za bezpieczne do kąpieli. Najbardziej śmiercionośnym zwierzęciem w Afryce jest hipopotam. Ten ssak ważący nawet 1,5 tony potrafi rozpędzić się do 50 km/h. Przez cały dzień leży w wodzie broniąc swojego terytorium, wieczorem zaś wychodzi na pastwiska, przechodząc często 6-8 km. Spotkanie z hipopotamem po zmierzchu nie należy do najprzyjemniejszych. Dzieci w Afryce nie czytają bajek o uśmiechniętych i bawiących się słoniach czy hipopotamach; zwierzęta te są przedstawiane podobnie jak wilki w kulturze europejskiej. Aby uniknąć zagrożenia należy podążać szlakami uczęszczanymi przez miejscowych, najlepiej z przewodnikiem bądź strażnikiem parku. Uganda jest z pewnością jednym z najbezpieczniejszych krajów w regionie, trzeba tylko przestrzegać wyznaczonych reguł i dokładnie zaplanować swoją podróż.

TICKETTOTHEMOON

Keep your feet off the ground

www.ticketothemoon.com

DYSTRYBUTOR: CRAG SPORT INFO@CRAGSPORT.PL

SURFING W PORTUGALII

MACIEJ SZOPA

Dla przeciętnego, lubiącego ruch Portugalczyka istnieją tylko dwa sporty - piłka nożna i… surfing. Z jednej strony Ronaldo, FC Porto i Benfica Lizbona, a z drugiej…

…setki spotów poukrywanych na klimatycznych, otoczonych klifami plażach sprawiają, że nie ma chyba w Europie lepszego miejsca, aby w pełni przekonać się o co w tej zabawie chodzi. Szczególnie, że w odróżnieniu od Hiszpanii i Francji raczej rzadko zdarzają się tutaj sytuacje, kiedy w wodzie jest naprawdę ciasno. Nawet jeśli w najpopularniejszych miejscach będzie gęsto od surferów, wystarczy przejechać kilka kilometrów dalej, aby nieco mniej popularną plażę mieć tylko dla siebie. Dodatkowym atutem są bardzo przyjaźni i otwarci *lokalsi*. Nie spotkamy tutaj zjawiska zwanego „strong localism" znanego z niektórych miejsc w USA lub we Francji, a objawiającego się niechęcią do „kradnących fale przyjezdnych". Wręcz przeciwnie, atmosfera na *lineupie* jest bardzo przyjazna, tym bardziej, że Portugalczycy są zawsze bardzo chętni do rozmowy z obcokrajowcami i w większości przypadków świetnie mówią po angielsku. Jeżeli tylko stosujemy się do surfingowej etyki możemy liczyć na bardzo ciepłe przyjęcie. Większość ruchu surfingowego w Portugalii skupia się w trzech najbardziej popularnych rejonach - Algarve, Peniche i w szeroko rozumianych okolicach Lizbony. Tutaj znajdziemy też najwięcej szkółek, wypożyczalni i surfshopów. Jeśli jednak macie żyłkę eksploratora praktycznie całe wybrzeże liczące ponad 800 kilometrów stoi dla Was otworem i w każdej okolicy znajdziecie niesamowite miejsca, aby złapać kilka fal :-).

LIZBONA I OKOLICE

Najgęściej zamieszkany rejon Portugalii. W tzw. Wielkiej Lizbonie, czyli Lizbonie wraz z satelitarnymi miastami mieszka prawie 1/3 ludności kraju. Jeśli planujecie objazdówkę po Portugalii, zapewne właśnie tutaj w pierwszej kolejności skierujecie swoje kroki. Najpopularniejsze surf spoty w okolicy to Carcavelos i Costa de Caparica.

CARCAVELOS - lajtowy beachbreak z cała masą knajpek, szkół surfingowych i wypożyczalni desek na plaży. W lecie raczej malutkie fale, ale jesienią i w zimie potrafi zadziwić. Łatwo dojechać kolejką podmiejską, co sprawia, że przy ładnej pogodzie jest dość tłoczno jak na Portugalię. W okolicy cała masa innych spotów na czele z Sao Pedro de Estoril, Gincho i mega popularną Ericeirą.

COSTA DE CAPARICA - kilkudziesięciokilometrowa plaża rozciągająca się na południe od Lizbony. Popularne miejsce weekendowego plażowania lizbończyków. Surf głównie skupia się przy miejscowości o tej samej nazwie, gdzie znajdziemy kilkanaście szkół surfingowych i wypożyczalni sprzętu. I oczywiście, jak na Portugalię przystało setki barów i restauracji :-). Spot czynny praktycznie 365 dni w roku. Zawsze znajdziemy tu jakieś fale do złapania.

Po surfingu warto odwiedzić słynną dzielnicę Bairro Alto w Lizbonie, która w sezonie zamienia się w jedną wielką imprezownię z tysiącem pubów i ludźmi bawiącymi się na ulicach!

PENICHE

Miasto surferów. Położone na półwyspie otoczonym skałami i plażami zostało chyba zaprojektowane z myślą o ślizganiu się na falach. Praktycznie 100% szans na odnalezienie na którejś z plaż idealnych fal niezależnie od kierunku swellu. Często po jednej stronie półwyspu zobaczymy ocean płaski jak stół, a po krótkim spacerze na drugą stronę będziemy mogli surfować w idealnych tubach. No właśnie - najbardziej znaną miejscówką Peniche jest nomen omen Supertubos! Rokrocznie w październiku odbywają się tutaj zawody z serii World Surf League, gromadzące całą śmietankę najlepszych surferów na świecie. Tutaj ponoć można złapać najlepsze i najbardziej soczyste barrele na Półwyspie Iberyjskim.

ALGARVE

Samo południe Portugalii i zarazem najpopularniejsze miejsce na wakacyjne wyjazdy Portugalczyków. Dość sporo ludzi w sezonie letnim, w pozostałych okresach niezbyt tłoczno. Najpopularniejsza i zarazem najlepsza na początek miejscówka to Tonel w maleńkim miasteczku Sagres na zachodnim końcu półwyspu. Dobry warun panuje przez większość dni w roku. W samym Sagres niewiele możliwości noclegowych. Zdecydowanie więcej do zaoferowania ma nieodległe Lagos z masą tanich hosteli i klimatycznych knajp. W okolicy sporo innych topowych plaż, na czele z Praia do Bordeira, Praia do Amado czy znaną z pocztówek Beliche.

INFORMACJE PRAKTYCZNE

SPRZĘT:
Z pożyczeniem deski i pianki, nawet w mniej popularnych spotach, nie ma najmniejszego problemu. Ceny są zróżnicowane w zależności od miejsca, ale już za kilkanaście euro można coś znaleźć. Jeśli przyjeżdżacie na dłużej dobrą opcją może być zakup własnej deski. Oferta używanego sprzętu w sklepach surfingowych jest naprawdę spora i ceny zaczynając się już od 80 euro. Pianka niestety jest niezbędna, jako że temperatura oceanu oscyluje pomiędzy 18 stopni w zimie do maksymalnie 23 w lecie.

KWATERY:
Noclegi w większości miejsc w Portugalii znajdziecie od 10 euro za noc. Pamiętać trzeba, że większość hosteli nie posiada centralnego ogrzewania, co w zimie (temperatury w nocy 8-10 stopni) może zapewnić niezapomniane wrażenia. Warto dopytać przy rezerwacji i ewentualnie poprosić o dodatkowy grzejnik elektryczny. Ceny kempingów również zaczynają się od około 10 euro. W całej Portugalii zakazane jest biwakowanie na dziko, co oczywiście nikomu nie przeszkadza w rozstawianiu namiotu bądź parkowaniu campera w co bardziej zacisznych i nieco oddalonych od plaż miejscach.

PRZYDATNE STRONY INTERNETOWE:
beachcam.sapo.pt - tutaj znajdziecie podgląd z kamerek na większość popularnych spotów i trochę informacji o panującym aktualnie warunkach.
magicseaweed.com - prognozy fal i pogody dla całego świata. Większość portugalskich miejscówek też tu znajdziecie. System oceny jakość fal w skali od 1 do 5 gwiazdek nie zawsze niestety się sprawdza. Czasem świetne warunki panują na jednaj bladej gwiazdce, a innego dnia pięciogwiazdkowy swell oznacza po prostu sztorm i zero możliwość surfingu. Najlepiej zaliczyć down patrol i sprawdzić naocznie lub na kamerce.
surfline.com - podobnie jak w poprzednim serwisie znajdziecie tutaj informacje o prognozowanej jakości fal. Dodatkowo trochę kamerek w popularniejszych spotach.

KIM JESTEŚ? JESTEM WSPINACZEM

EVOLV TEAM POLSKA

WOJCIECH PEŁKA

1. Kiedy i jak zacząłeś się wspinać?
Miałem wtedy chyba 8 lat. Pytałem ostatnio o to Wojtiego Jędrzejczyka, bo to z nim miałem pierwsze zajęcia w RENi-Sporcie, ale nie pamięta.
2. Co najbardziej lubisz we wspinaniu?
Klimat, tripy i eksplorację nowych rejonów.
3. Co najbardziej motywuje Cię do działania?
Perspektywa zrobienia projektu.
4. Jakie jest Twoje ulubione miejsce wspinaczkowe?
Oliana
5. Jaka droga wspinaczkowa sprawiła Ci najwięcej satysfakcji?
Chyba Mon Dieu w Olianie. Kiedy podniosłem poziom swojego OSa z 7b na 8a+, to było tylko pół stopnia mniej od mojej ówczesnej życiówki RP.
6. Jakie masz hobby poza wspinaniem?
Lubię mieszać (czyt. chemia, ale nie tylko ;))
7. Czy masz jakieś ukryte zdolności lub talenty?
Potrafię zapamiętać mnóstwo nieprzydatnych rzeczy, nazwisk, dat, ruchów na drodze, której nie próbowałem itp.
8. Kim chciałeś zostać w dzieciństwie?
Chyba księdzem. Kusiły mnie łatwe i wysokie zarobki :P Miałem dość racjonalne podejście do przyszłości.
9. Jeśli mógłbyś zmienić jedną rzecz w sobie, to co by to było?
Pewnie mógłbym mieszkać w Katalonii.
10. Opisz swój idealny dzień.
Wstaje o 8 rano. Hiszpańskie słoneczko przyjemnie grzeje, 18 stopni na termometrze. Kawa już wypłynęła z kawiarki, omlet nie wyleciał z patelni podczas przerzucania. Jedziemy w skały, a tam 50-metrowy, lekki przewis, który gładko przepuszcza wszystkich członków wyjazdu. Kończymy projekty, ale one się nie kończą, tak jak nowe drogi rozgrzewkowe. Wieczorem wracamy ze skałek. Na kolację makaron podany w jakiś smaczny sposób, potem partyjka Carcassone i idziemy spać.

PIOTR CZARNECKI

1. Kiedy i jak zacząłeś się wspinać?
Nieco ponad 10 lat temu. Przypadkowo trafiłem na ściankę wspinaczkową i mi się spodobało.
2. Co najbardziej lubisz we wspinaniu?
Pokonywanie własnych słabości, przestrzeń, poczucie wolności.
3. Co najbardziej motywuje Cię do działania?
Dobry rejon, dobry warun, dobra ekipa.
4. Jakie jest Twoje ulubione miejsce wspinaczkowe?
Rodellar, Fontainebleau i oczywiście Zimny Dół.
5. Jaka droga wspinaczkowa sprawiła Ci najwięcej satysfakcji?
Cabane Au Canada 9a w Rawyl. Ta droga pozwoliła mi uwierzyć, że wiele można osiągnąć - wystarczy tylko mocno chcieć.
6. Jakie masz hobby poza wspinaniem?
Snowboard, slackline, monocykle.
7. Czy masz jakieś ukryte zdolności lub talenty?
Czasami potrafię zrobić coś z niczego.
8. Kim chciałeś zostać w dzieciństwie?
Na pewno nie policjantem!
9. Jeśli mógłbyś zmienić jedną rzecz w sobie, to co by to było?
Jakby mi się zawsze chciało tak jak mi się nie chce…
10. Opisz swój idealny dzień.
Śniadanko do łóżka w 5-cio gwiazdkowym hotelu, przejazd limuzyną pod skałki, idealny warun zamówiony. Webb i Ondra czekają na mnie z patentami, wokół modelki czyszczące chwyty i ogarniające crashpady. Po pokazaniu chłopakom co to znaczy moc, wracam do limuzyny. Popijam szampana i jadę do hotelu na masaż, by w międzyczasie ustalić plan na kolejny dzień. Później tylko romantyczna kolacja z ukochaną i wiadomo co – trzeba się wyspać, by mieć siłę na następny piękny dzień.

STERLING™

DOMINANCE

POWER, POISE AND STYLE.

Chris Sharma, team athlete
with the Evolution Helix™
9.5 mm neon green
(59 g/M) CE 0120

sterlingrope.com
#thenewsterling

Made in U.S.A.

with U.S. and Globally Sourced Material.

EVOLV TEAM POLSKA

MAŁGORZATA RUDZIŃSKA

1. Kiedy i jak zaczęłaś się wspinać?
To było jakoś w 2002-2003 roku. Zaczęło się od tego, że miałam ściankę wspinaczkową w szkole, spróbowałam wspinania na lekcji wf. Później chodziłam na dodatkowe zajęcia wspinaczkowe raz/dwa razy w tygodniu. Na początku była to przede wszystkim zabawa, która później zamieniła się w trochę poważniejszy trening.
2. Co najbardziej lubisz we wspinaniu?
Samo wspinanie i ludzi z nim związanych. Nic tak dobrze nie pomaga mi odpocząć, odizolować się od problemów i życia codziennego, jak wyjazd w skałki.
3. Co najbardziej motywuje Cię do działania?
Przede wszystkim dążenie do wyznaczonych celów. Motywująco działa na mnie też to, jak widzę progres, albo przełamuję swoje własne bariery.
4. Jakie jest Twoje ulubione miejsce wspinaczkowe?
Nie mam jednego ulubionego. Na przykład Fontainebleau podoba mi się dlatego, że czuję się w otoczeniu tylu kamieni jak na placu zabaw, w Silvreccie są super widoki, a Magic Wood ma w sobie jakiś taki niepowtarzalny wspinaczkowy klimat. Tak naprawdę wszędzie, gdzie mogę się powspinać jest super!
5. Jaki boulder sprawił Ci najwięcej satysfakcji?
Moje pierwsze 7C, czyli Monsun SSD na Kamieniu Michniowskim. Powtórzenie tego boulderu zajęło mi kilka sesji, z czego już od pierwszego wyjazdu odpadałam na ostatnim ruchu. Po przejściu całego boulderu w ciągu okazało się, że podczas skoku do ostatniego chwytu przypadkowo kopnęłam spottera.
6. Jakie masz hobby poza wspinaniem?
Nie mam drugiego hobby, które by pochłaniało tyle czasu co wspinanie. Bardzo lubię biegać, spędzać czas ze znajomymi czy podróżować w różne miejsca.
7. Czy masz jakieś ukryte zdolności lub talenty?
Mogłabym spać 24 godziny na dobę, chociaż nie wiem czy to ukryty talent, albo zdolność.
8. Kim chciałaś zostać w dzieciństwie?
Nie pamiętam kim chciałam zostać z zawodu. Pamiętam, że chciałam zostać siatkarką, tylko że nigdy nie miałam wystarczającego wzrostu.
9. Jeśli mogłabyś zmienić jedną rzecz w sobie, to co by to było?
Chyba chciałabym być mniej leniwa. Myślę, że bardzo ułatwiłoby mi to codzienne funkcjonowanie.
10. Opisz swój idealny dzień. Oczywiście jestem w skałkach, w jakimś super rejonie boulderowym. Śpię na kwaterach, żeby było sucho i ciepło. Budzę się raczej nie najwcześniej, bo około 10-11. Na śniadanie klasycznie jest jajecznica albo omlecik, kawka i cola w puszce. Warun w skałach idealny, przede wszystkim sucho i bez deszczu w prognozach przez najbliższe kilka dni. Ruszamy w skałki, podjeżdżamy na parking, podejścia praktycznie nie ma. Robimy kilka boulderków rozgrzewkowych, każdy ma już rozpatentowany swój projekt. Wszystkie projekty padają bardzo szybko, dlatego też resztę dnia możemy poświęcić na wspinanie po przyjemnych, łatwych boulderkach. Po wspinaniu jedziemy na zasłużoną, przepyszną pizze i ciacho na deser. Wracamy na kwaterki i przy winku planujemy kolejny dzień wspinania.

PAULINA KALANDYK

1. Kiedy i jak zaczęłaś się wspinać?
Moja przygoda ze wspinaniem zaczęła się 10 lat temu na ścianie RKW mieszczącej się w kościele ojców Saletynów w Rzeszowie. Od zawsze aktywnie spędzałam czas wolny i po długich poszukiwaniach odpowiedniego hobby wspinanie okazało się strzałem w dziesiątkę.
2. Co najbardziej lubisz we wspinaniu?
Przede wszystkim element towarzyski. Poznawanie inspirujących osób i zawieranie przyjaźni, czasem na całe życie. Możliwość spędzania wolnego czasu w różnych miejscach na świecie. Złożoność wspinania jako sportu i jako formy rekreacji.
3. Co najbardziej motywuje Cię do działania?
Najbardziej motywujące są efekty treningowe. Kiedy widzę, że dane działanie przynosi możliwość realizacji celów sportowych. Sam proces treningowy też jest ciekawy i przynosi dużo satysfakcji. Zwłaszcza kiedy masz „zły dzień", a jednak realizujesz wcześniej założony plan, choć wokół jest milion ciekawszych rzeczy do zrobienia ;).
4. Jakie jest Twoje ulubione miejsce wspinaczkowe?
Sněžnik w Czechach. Zdecydowanie najbardziej urokliwe miejsce wspinaczkowe, w którym byłam. Świetne widoki i najlepszej jakości wspinanie, trochę niedoceniane przez wspinaczy z Polski. Niebagatelne są również miłe wspomnienia ;)
5. Jaka droga wspinaczkowa sprawiła Ci najwięcej satysfakcji?
Lucyfer w Kusiętach. Zupełnie nie w moim stylu, wymagający najwięcej czasu i prób oraz solidnej pracy nad wspinaczkowymi słabościami.
6. Jakie masz hobby poza wspinaniem?
Wspinanie oraz praca zawodowa zajmują mi mnóstwo czasu, którego na inne aktywności pozostaje niewiele. W wolnej chwili zazwyczaj czytam dobrą książkę lub oglądam film oraz nadrabiam zaległości towarzyskie. Niepokojący jest fakt, że z biegiem czasu coraz częściej wybieram to pierwsze… ;).
7. Czy masz jakieś ukryte zdolności lub talenty?
Nic mi o nich nie wiadomo, ale mam nadzieje, że kiedyś jakieś odkryję ;).
8. Kim chciałaś zostać w dzieciństwie?
Patologiem sądowym…
9. Jeśli mogłabyś zmienić jedną rzecz w sobie, to co by to było?
Chciałabym mieć zdecydowanie więcej sportowego zacięcia i samodyscypliny.
10. Opisz swój idealny dzień.
Pobudka nie wcześniej niż o 8:00, dobra kawa i zapas Ovomaltine, skałka i dobre towarzystwo… Cała reszta jest bez znaczenia .

ADRIAN CHMIAŁA

1. Kiedy i jak zacząłeś się wspinać?
W 2008 roku jako dzieciak wybrałem się z kolegą na ściankę. Wkręciliśmy się i zapisaliśmy na sekcje, które były prowadzone przez bardzo dobrego trenera. Praktycznie od razu zacząłem się wspinać cztery razy w tygodniu. Progres był szybki i całkowicie mnie to pochłonęło.
2. Co najbardziej lubisz we wspinaniu?
Lubię po prostu przebywać w skałach lub jeździć na zawody. Przejścia i inne sukcesy są tylko nagrodą, nie są dla mnie czymś kluczowym. Sam ruch w skale i dobre samopoczucie sprawiają mi największą radość. Nie zawsze jednak miałem takie podejście.
3. Co najbardziej motywuje Cię do działania?
Od kilku lat nie myślę o motywacji, tylko cieszę się jeśli mam czas na wspinanie.
4. Jakie jest Twoje ulubione miejsce wspinaczkowe?
Uwielbiam słoneczną Katalonię. Klimat i jakość wspinania są tam niepowtarzalne.
5. Jaka droga wspinaczkowa sprawiła Ci najwięcej satysfakcji?
Ciężko mi wybrać, ale pamiętam, że jak ostatniego dnia wyjazdu zrobiłem pierwsze 8c w Céüse o wschodzie słońca, to zbiegłem z klifu z dużym plecakiem i dwiema torbami w rękach w jakieś 20 min. Wszystko było magiczne i napawało niesamowitą energią przez następne kilka dni. Podobnie się czułem, kiedy po długiej batalii poprowadziłem Sprawę Honoru w Mamutowej. Tym razem w totalnych ciemnościach z lampami.
6. Jakie masz hobby poza wspinaniem?
Lubię dobrą kawę i dobre wino. Wkręcam się w świat biznesu.
7. Czy masz jakieś ukryte zdolności lub talenty?
Nie czuje się jakoś specjalnie utalentowany :). Staram się jak najlepiej odnaleźć we wszystkim czego się podejmuję.
8. Kim chciałeś zostać w dzieciństwie?
Chciałem zostać architektem. Moi znajomi pewnie się domyślą dlaczego ten pomysł wypadł mi z głowy :).
9. Jeśli mógłbyś zmienić jedną rzecz w sobie, to co by to było?
Mam duży problem ze skupieniem i komponowaniem wypowiedzi, przez co czasem mówię lub piszę rzeczy, których później żałuję. Zdecydowanie chciałbym to zmienić.
10. Opisz swój idealny dzień.
Budzę się rano obok ukochanej osoby. Za oknem świeci słońce, niebo jest bezchmurne. Wokół skały, morze niedaleko. Robię kawę i śniadanie. Temperatura na zewnątrz 20 stopni. Po śniadaniu jedziemy w skały. Wspinanie przyjemne, w świetnym rejonie, po nietrudnych liniach, nie wymagające szczególnego wysiłku. Po wspinie spacer nad morzem. Lasagne na obiad. Wieczorem dobre wino…

STEFAN MADEJ

1. Kiedy i jak zacząłeś się wspinać?
Pod koniec 1999 roku, miałem wtedy 11lat. Znajomy rodziców zabrał mnie w polskie skały. Potem były jeszcze 2-3 lata okazjonalnych wizyt na ścianie, ale to chyba ten wyjazd uznaję za początek mojej przygody ze wspinaniem.
2. Co najbardziej lubisz we wspinaniu?
Prawie wszystko :). Sam ruch wspinaczkowy, złożoność tego sportu, wyjazdy, pracowanie nad projektami i ich pokonywanie, trening na ścianie i kontakt z naturą w skałach – to tylko te najważniejsze rzeczy.
3. Co najbardziej motywuje Cię do działania?
Wewnętrzna chęć podniesienia poziomu i pokonywania trudniejszych projektów.
4. Jakie jest Twoje ulubione miejsce wspinaczkowe?
Francuskie Fontainebleau i hiszpański Rodellar
5. Jaka droga wspinaczkowa sprawiła Ci najwięcej satysfakcji?
Pff, ciężko wybrać tylko jedną. Każda trudna droga, którą pokonam daje mi ogromną satysfakcję, ale te pokonane RP na pewno cieszą bardziej niż onsighty, bo jednak włożyłem w nie znacznie więcej pracy.
6. Jakie masz hobby poza wspinaniem?
Fotografia!
7. Czy masz jakieś ukryte zdolności lub talenty?
Jeśli tak, to chyba nadal są ukryte ;)
8. Kim chciałeś zostać w dzieciństwie?
Bankierem, ale to był słaby pomysł.
9. Jeśli mógłbyś zmienić jedną rzecz w sobie, to co by to było?
Pogrzebałbym trochę przy charakterze…
10. Opisz swój idealny dzień.
Fontainebleau, marzec. Budzi mnie wpadające przez okna wynajętego gite'a słońce. Jajecznica, kawka z kawiarki i lecimy na wspin. Na dworze lampa i kilka stopni. Idealny warun w Bleau. Na rozgrzewkę standardowo śmigamy po czwórkach, na dogrzewkę szóstki i jakieś 7a. Potem projekty, ale nie za trudne żeby nie mieć ciśnienia. Cały dzień wspinania, kajet pełen przejść. Tuż po zachodzie ładujemy się do samochodu i wracamy na kwaterkę. Robimy spaghetti, do tego lampka wina (no, może trzy). Wieczorem jeszcze partyjka w Magię i Miecz i planowanie kolejnego dnia…

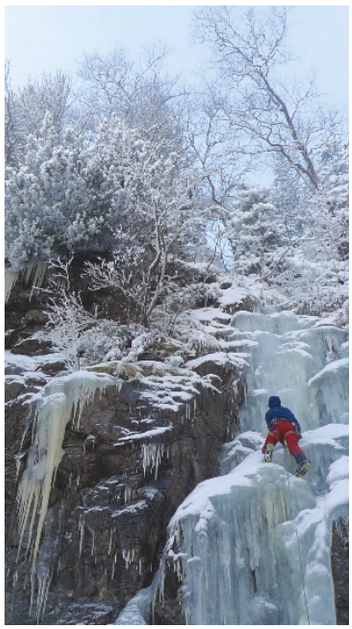

JA, INSTRUKTOR - O WSPINANIU I SZKOLENIU SŁÓW KILKA

JAN KUCZERA

Wspinanie

Tak naprawdę nigdy nie planowałem zostać instruktorem wspinania. Wyszło to jakoś naturalnie i w pewnym momencie stwierdziłem, że jedyną rzeczą, na której bardzo dobrze się znam jest po prostu wspinanie. Wspinałem się dużo: skały, góry latem i zimą, w Europie i Azji. Górnolotnie można stwierdzić, że wspinanie było nie tylko drogą, którą podążałem, ale również obsesją. Oczywiście miałem obawy, czy łączenie pasji z pracą wyjdzie mi na zdrowie. Stwierdziłem, że spróbuję, tym bardziej, że moja mama była poważaną nauczycielką, więc liczyłem, że szkolenie mam we krwi :)

Początki

„Aby być dobrym instruktorem nie wystarczy być dobrym wspinaczem". Nie raz starsi instruktorzy kierowali to stwierdzenie do młodych wilków i trzeba przyznać, że jest w nim wiele prawdy. Pojąłem to dość szybko, ponieważ odbyłem nadprogramową ilość staży. Na początku w skałach m.in. u moich instruktorskich guru Jarka Cabana i Jarka Liwacza, a później już w górach. Dowiedziałem się tam, że metodyka nauczania i cierpliwość do kursantów, to elementy, nad którymi trzeba pracować najbardziej. Na szczęście jedno jak i drugie można wypracować, ale trzeba tak naprawdę tego chcieć. Z cierpliwością wiem, że bywa różnie, szczególnie w trudnych, ryzykownych sytuacjach. Uświadomienie sobie, że świętym prawem kursanta jest mylić się i popełniać błędy do ostatniego dnia trwania kursu, zdecydowanie pomaga w byciu cierpliwym. Na równi z kompetencją instruktorów, istotne jest zadbanie o zdrową atmosferę na kursie. W końcu osoby szkolące się, poza sporą dawką wiedzy, chciały by także miło spędzić czas.

Ryzyko

Podczas szkoleń wspinaczkowych w skałach, a przede wszystkim w górach latem i zimą, nie da się uniknąć całkowicie ryzyka - można je minimalizować. Szkolenie wspinaczkowe to nie przewodnictwo, gdzie ja prowadzę, a klient wspina się za mną. Tutaj kursanci wspinają się naprawdę, więc grożą im odpadnięcia i konsekwencje z tym związane. Rolą instruktora jest dopasowanie trudność drogi do umiejętności kursanta oraz czuwanie nad jego bezpieczeństwem na tyle, na ile jest to możliwe. Bardzo istotnym jest, aby do każdej osoby podchodzić indywidualnie i odpowiednio stopniować poziom trudności w trakcie trwania kursu. Oczy trzeba mieć dookoła głowy i przewidywać kiedy kursant może popełnić poważny w skutkach błąd. Z drugiej jednak strony kursanci z każdym dniem szko-

lenia powinni odczuwać coraz mniejszą obecność instruktora. Są to oczywiście pozory, ważne jednak w procesie nauczania – pomagają się usamodzielnić, poczuć odpowiedzialność i pewność swoich decyzji.

Ludzie

Na kursach pojawiają się różni ludzie, dlatego każdy kurs jest inny. Są osoby, którym wiedza przychodzi łatwo, ale są też takie, przy których trzeba się sporo natrudzić. Wydaje mi się, że największą zaletą tej pracy jest właśnie różny typ ludzi, ponieważ sprawiają oni, że ta praca jest bardzo interesująca.

Misja

Moim instruktorskim obowiązkiem jest przygotowanie kursantów do bezpiecznego działania w skałach, górach latem lub zimą. Bez względu na to, czy jest to osoba wymagająca szlifów w ramach programu Polski Himalaizm Zimowy/Wysokogórski, Grupy Młodzieżowej Polskiego Związku Alpinizmu czy turysta. Najważniejsza dla mnie jest świadomość, że w ciągu tych kilku dni jakie poświęciłem szkoleniu, wykonałem dobrze swoją robotę. Celem jest zawsze bezpieczeństwo w dalszej, samodzielnej karierze górskiej.Wydaje mi się, że od kursantów należy wiele oczekiwać i stawiać przed nimi ambitne cele. Trzeba jednak pamiętać o tym, że muszą być one osiągalne, ponieważ nietrudno przeholować i zniechęcić do wspinania. Z drugiej strony zbyt niskie stawianie poprzeczki sprawi, że nie pokażą na co naprawdę ich stać.

Rozwój

W tym zawodzie możliwość rozwoju jest nieograniczona, natomiast sama praca jeśli się nią dobrze pokieruje, nie będzie nużąca. Tak naprawdę ograniczają mnie jedynie czas i kontuzje, z którymi od czasu do czasu się borykam. Dla mnie najważniejsze w tym całym działaniu, jest dalsze aktywne wspinanie dla własnej satysfakcji. Dlaczego? Dlatego, że to wspinanie było od początku i jest nadal istotą samego szkolenia. Jeśli przestanę się wspinać dla siebie, to chyba po prostu przestanę szkolić.

Jan Kuczera
Instruktor Taternictwa Polskiego Związku Alpinizmu
Instruktor Wspinaczki Wysokogórskiej
Szef szkoły wspinania HardRock

www.hardrock-wspinanie.pl

BLACK DIAMOND: „Jeśli jeszcze się nie zepsuło– zepsuj to!”

Fot. Black Diamond Equipment

Black Diamond słynie z tego, że nieustannie wymyśla nowe sposoby „znęcania się” nad sprzętem, zanim trafi on w ręce użytkowników. Tej wiosny firma planuje wypuszczenie kolejnych produktów mocno doświadczonych w tej swoistej „szkole tortur”.

DR ZAGŁADA

Zacytowane w tytule zdanie zostało wypowiedziane na początku lat 90. XX wieku w laboratorium Black Diamonda w Salt Lake City, kiedy to grupa inżynierów i ekspertów do spraw jakości skupiła się wokół maszyny służącej do rozszarpywania sprzętu, który w „realu” nie może zawieść – szczególnie w chwili, kiedy ma od niego zależeć czyjeś życie. Ta maszyna (o dumnej nazwie „Tester Wytrzymałości na Rozciąganie” Instron 3300) jest w stanie wytworzyć ciąg o sile ponad 8 ton – czyli ekwiwalent sił wywieranych przez ciężar trzech samochodów terenowych Toyoty. Powód do rozrywania sprzętu wspinaczkowego jest prozaiczny: należy go zniszczyć, zlokalizować jego słabe punkty, a następnie stworzyć nową, mocniejszą wersję. Ogólnie mówiąc, większość przedmiotów szybko rozpada się w konfrontacji z potęgą Instrona. Karabinki pękają przy obciążeniu około 2,7 tony. Metalowe linki, stosowane w niektórych mniejszych rozmiarach Camalotów, rozrywają się przy dwukrotnie mniejszej sile, co i tak jest o wiele większym obciążeniem niż to, jakie ludzkie ciało wywiera na sprzęt nawet przy najgorszym locie. Jednak tego pamiętnego dnia Instron w końcu trafił na godnego przeciwnika. Maszyna przykładała coraz większą siłę – 4 tony, 5 ton, 6 ton… Instron powoli zaczął „jęczeć”. Wszyscy cofnęli się o krok do tyłu. Wewnątrz maszyny, zamocowany pomiędzy dwoma punktami przypominającymi imadła, znajdował się niedorzecznie wyglądający czekan. Stylisko miało około 15 cm, było pomalowane na kolor wściekle pomarańczowy i wykonane z tłoczonego aluminium. Do jednego końca tego nietypowo krótkiego styliska przymocowano, jak można się było spodziewać, ostrze czekana oraz łopatkę, jednak na drugim końcu, gdzie normalnie powinien znajdować się grot do wbijania w twardy śnieg, zamontowano kolejną, bliźniaczą głowicę z ostrzem i łopatką. To był „dwugłowy” czekan – najbardziej bezużyteczny przedmiot, jaki można sobie wyobrazić. Specami od jakości byli ludzie Dr. Zagłady – mówi Kolin Powick, szef działu wspinaczkowego w Black Diamond. – Nieustannie kombinują, jak wspinacze będą używać danego rodzaju szpeju. W jaki sposób mogą go uszkodzić? Co może zawieść? Hardkorowcy w pięć godzin mogą zużyć sprzęt w sposób odpowiadający pięciu latom standardowego użytkowania. Mężczyźni stojący wokół maszyny tamtego pamiętnego dnia nie byli jednak zainteresowani symulacją zużywania sprzętu. Nigdy w życiu nie spróbowaliby sprzedać tak dziwacznego czekana. Testowali coś, co Powick określa mianem „supertajnego kleju” – kleju tak mocnego, że można go użyć do przyklejenia skrzydeł do samolotu. Projektanci chcieli użyć kleju do zamocowania głowicy czekana do styliska zamiast stosowania nitów, których otwory osłabiały wytrzymałość materiału. Jeśli ta tajna substancja byłaby równie mocna jak oczekiwano, pozwoliłoby to na zastosowanie nowych konstrukcji oraz materiałów, co uczyniłoby czekan Black Diamonda najbardziej wytrzymałym w stosunku do jego wagi na całym rynku wspinaczkowym. Jednak trudno było stwierdzić, czy eksperyment się powiódł, gdyż grot na spodzie czekana był zamocowany za pomocą nitu, który pękał szybciej niż klej na głowicy. Dlatego eksperci postanowili stworzyć dwugłową wersję czekana. Dopiero przy obciążeniu 7,7 tony klej w końcu się poddał. Nawet w obliczu tak potężnej siły nie doszło do dezintegracji ani wyłamania elementów czekana. Szrapnele nie przeleciały przez pomieszczenie. – Usłyszeliśmy tylko ciche pyknięcie – wzruszył ramionami Douglas Heinrich, wiceszef działu sprzętu oraz były wspinacz lodowy startujący w X Games. Jednak to „ciche pyknięcie” doprowadziło do powstania Black Prophet, pierwszego na świecie czekana wykonanego z włókien węglowych. Jego późniejsza wersja, Cobra, zawiśnie pewnego dnia w Instytucie Smithsona jako dowód na to, jak daleko zaszła ewolucja czekanów. Opisany eksperyment stanowił sedno tego, co uczyniło firmę Black Dia-

fot. Black Diamond Equipment

mond jednym z najbardziej szanowanych producentów outdoorowych na świecie. Firma miała swoje początki w skromnym garażu Yvona Chouinarda, gdzie kuto toporne haki wspinaczkowe za półtora dolara za sztukę. Obecnie firma warta jest 200 mln dolarów, posiada główną siedzibę w sercu jednych z najpiękniejszych gór Ameryki, a do tego prężnie się rozwija i jest notowana na giełdzie. Niewiele innych firm outdoorowych zatrudnia więcej inżynierów (32 na 296 pracowników) lub poświęca tyle czasu i zasobów na rozrywanie, zgniatanie i masakrowanie swojego własnego sprzętu w celu sprawdzenia tego, co działa, a co nie. Dzięki temu wspinacze i narciarze z całego świata mogą obecnie używać czekanów, które są kompatybilne z kijkami narciarskimi oraz mocnych czołówek, które praktycznie nic nie ważą. Plecaki wyposażone w system zwany Jet-Force Technology po pociągnięciu rączki błyskawicznie pompują 200-litrową poduszkę, 7 razy większą od ich własnej objętości, której celem jest ratowanie życia ofiar wypadków lawinowych. Wystarczy zajrzeć do dowolnej szafy wspinacza lub skialpinisty, aby znaleźć jakiś sprzęt, który przeszedł mordercze testy przeprowadzone przy pomocy Instrona lub innego narzędzia „tortur" opracowanego przez inżynierów Black Diamonda. Choć czekan Black Prophet robił wtedy duże wrażenie, to od tamtych eksperymentów minęło już 20 lat i w międzyczasie miało miejsce dużo magicznych wydarzeń. Ludzie zjechali na nartach z Everestu. Fakt, że dwóch facetów robi w jeden dzień dwie największe ściany Yosemite, nie jest już tak imponujący, biorąc pod uwagę, że Alex Honnold jest w stanie przejść trzy ściany – samotnie i bez liny – w tym samym czasie.– Innowacje powstają w przestrzeni pomiędzy obecną pozycją sportu a tą, do której dana dyscyplina zmierza – podkreślił Peter Metcalf, dyrektor generalny firmy. Wypowiadając te słowa, Metcalf siedział akurat w swoim biurze udekorowanym starymi karabinkami, drewnianym czekanem, którego używał w 1970 roku podczas kursu National Outdoor Leadership School oraz stroną wydartą z magazynu „Outdoor", która w niezbyt subtelny sposób przypominała o misji jego firmy: „Pain is temporary. Suck is forever" (Ból mija. Dziadostwo nigdy). – Jest wiele ścieżek, które wiodą donikąd w sferze innowacji – dodaje. – Cała sztuka polega na tym, aby odkryć te, które zaprowadzą nas do doskonałego sprzętu, jednak to wymaga zaangażowania ludzi, którzy sami uprawiają daną dyscyplinę sportu. Black Diamond ma największy zespół profesjonalnych sportowców i testerów w porównaniu do jakiejkolwiek innej innowacyjnej firmy próbującej udoskonalić swoje produkty. Ci profesjonalni sportowcy wspinają się na klify Grenlandii, używając magnetycznych karabinków, lub zjeżdżają na nartach z dziewiczych szczytów Antarktydy, testując prototypy nart oraz fok. Każdego dnia pracownicy z Salt Lake City sami również ruszają w góry Wasatch w towarzystwie stworzonych przez siebie prototypów. Każdy w firmie jest „użytkownikiem". O świcie projektanci zjeżdżają na nartach freeride'owymi liniami Scotties Bowl lub Pink Pine, podczas gdy po południu marketingowcy wspinają się na wygrzane w słońcu niedalekie skały.

400 TYSIĘCY SKANÓW

Tej wiosny Black Diamond zamierza rozszerzyć swoją krucjatę przeciwko „dziadostwu" poprzez wprowadzenie szeregu nowych produktów, które zostały stworzone zgodnie z firmowym credo: „USE, DESIGN, ENGINEER, BUILD, REPEAT" (Używać, projektować, konstruować, budować, powtarzać). Wszystkie nowe sprzęty przeszły przez firmową „wyżymarkę", jednak dwa z nich wyróżniają się spośród pozostałych. Szczerze mówiąc, jeden z tych produktów nie jest pojedynczym przedmiotem, a całą linią produktów. Kilka lat temu Black Diamond przeniósł te same metody testów, które stosuje do hardware'u, i zastosował je do odzieży męskiej. Minionej jesieni firma wprowadziła damską linię odzieży technicznej, która stanowi efekt lat eksperymentowania na tkaninach, statystycznego modelowania oraz wielu godzin spędzonych na testach laboratoryjnych i terenowych. W celu zapewnienia optymalnego dopasowania projektanci wykonali 400 tysięcy skanów ciał ludzkich, a następnie przeanalizowali te dane w celu dopasowania wymiarów odzieży do sportowej sylwetki. Kolekcja odzieży zewnętrznej ProShell i Active Shell zawiera takie modele jak Sharp End Shell – kurtkę z Gore-Tex Pro zaprojektowaną z myślą o ekstremalnych ekspedycjach. Inne modele, uszyte z materiału Schoeller, takie jak First Light Hoody, zostały stworzone do działania podczas jednodniowych, wyjątkowo zimnych oraz wymagających akcji, jak np. wspinaczki lodowej lub wypadu na narty. Kurtka First Light jest wiatroszczelna, wysoce wodoodporna, a do tego ocieplona dzięki zastosowaniu nowej mieszanki włókien syntetycznych i naturalnego puchu od firmy PrimaLoft. To wypełnienie nie zamaka tak szybko, a do tego zachowuje 95 proc. swoich właściwości grzewczych nawet po nasiąknięciu wodą. Najciekawsze jest to, że większość modeli w tej kolekcji zawiera proste ale efektywne rozwiązania techniczne, w tym wyróżniający się, innowacyjny system regulacji Cinch-Tab, składający się ze zintegrowanych komponentów od firmy Cohaesive, która współpracuje z Black Diamondem. Ten dyskretny system – składający się z udoskonalonych i zminimalizowanych ściągaczy – pozwalana łatwe mikrodopasowa

nia odzieży nawet za pomocą jednej ręki odzianej w rękawicę. Co ważne, jest to pierwszy produkt niepochodzący od W.L. Gore& Associates, który skrajnie wymagająca firma Gore pozwoliła zalaminować bezpośrednio w swoją wodoodporną i oddychalną membranę. Inne modele, takie jak na przykład kurtka Induction Shell, zostały stworzonez podklejonych w 100 proc. membran Windstopper oraz specjalnie zaprojektowanych materiałów szwajcarskiej firmy Schoeller, które zacierają granicę pomiędzy tkaninami hardshell i softshell. Firma Gore zabrania ujawniać dokładnych parametrów membrany Windstopper, jednak projektanci i inżynierowie z Black Diamond spędzili trzy dni w centrum badawczym Gore w New Jersey, gdzie polewali materiały strumieniami wody i zbierali dane – wyniki są imponujące, co może mieć znaczenie dla każdego, kogo na

fot. Black Diamond Equipment

przykład złapie ulewa o kroplach padających… poziomo. Oczywiście – wszystkie te modele przeszły mordercze testy wykonane na Instronie oraz innych niezliczonych maszynach, które rozdzierały, ścierały oraz prały materiał (np. w słonej wodzie). Zanim Black Diamond zdecydował się na wykorzystanie systemu Cohaesive, inżynierowie Black Diamond zbudowali komicznie wyglądającego, choć wysoce efektywnego robota o czterech ramionach, który nieustannie pociągał za ściągacze, nawet po 2000 razy, aby sprawdzić, jaka jest wytrzymałość tego rozwiązania. – Mogę pójść do laboratorium i zapytać, czy są w stanie wymyślić sposób na przetestowanie danego materiału lub jakiegoś fragmentu kurtki. A oni zawsze są w stanie to zrobić –mówi Lauren Deuser, inżynier tekstylny. Jednak odsuwając odzież na bok, możemy teraz powrócić do hardware'u. Zeszłej zimy wspinacze lodowi dostali do rąk dalekiego kuzyna legendarnego Black Propheta – nowy czekan Fuel. Ta dziaba została stworzona w oparciu o poprzedni model, Fusion, którego celem było wspomaganie tak wyjątkowych przedsięwzięć, jak walka o zwycięstwo w Pucharze Świata w wykonaniu Willa Gadda. Czekan Fuel jest przeznaczony dla bardziej „umiarkowanego" użytkownika – lżejszy, łatwiejszy w operowaniu i pozwalający na popełnianie błędów. Inżynierowie zwiększyli kąt ostrza, aby lepiej siadało w lodzie, skrócili odrobinę stylisko oraz zredukowali wagę do imponujących 638 g. Zamiast styliska z włókien węglowych, jak w przypadku Black Propheta, Fuel wykorzystuje hydroformowane aluminium – tego samego materiału używa się w wyczynowych rowerach kolarskich oraz samochodach sportowych. A do tego dodano odrobinę sławnego kleju, o którym pisaliśmy na początku artykułu. Heinrich, wiceszef działu produktów oraz były zawodnik we wspinaczce lodowej na X Games, wyznał nam szczerze, że czekany takie jak Fuel stanowią jedynie produkty „marginalne", przeznaczone dla entuzjastycznego, jednak wysoce wyspecjalizowanego użytkownika. To nie są masowe produkty, takie jak iPhone'y (ponoć projektanci Apple'a trzymają pod ręką produkty Black Diamond w celach inspiracyjnych), a raczej wyspecjalizowane systemy, od których zależy życie na przykład astronautów w przestrzeni kosmicznej. Tego typu produkty napędzają potrzebę eksplorowania oraz pozwalają kolejnym pokoleniom wspinaczy przesuwać granice tego co możliwe. Jednak nawet laik może wziąć do ręki czekan Fuel, zachwycić się jego doskonałym wyważeniem moraz precyzją wykonania, a do tego poczuć ogromną chęć wbicia go w coś, nawet jeśli miałoby to być tylko biurko faceta, który ten czekan stworzył.

ADAM KOKOT

FOTOGRAF SPORTÓW EKSTREMALNYCH

1. Adamie opowiedz nam o sobie i o tym jak zaczęła się Twoja przygoda z fotografią?
Swoją przygodę z aparatem zacząłem w 2007 roku, wcześniej w ogóle nie interesowałem się zdjęciami i nie miałem najmniejszego pojęcia o sprzęcie. Pierwszy aparat kupiłem, żeby dokumentować moje podróże i był to Canon 400 D z obiektywem Tamron. Ojciec zapytał mnie wtedy, po co mi taki drogi aparat skoro i tak nigdy nie będę profesjonalnym fotografem.

Zdjęcia sportowe zacząłem robić za namową mojego kolegi Michała Króla, z którym wspinam się od 13 roku życia. Poprosił mnie, żebym zrobił mu kilka zdjęć w Tatrach podczas trudnych wspinaczek i tak to się zaczęło. Pożyczyłem od znajomych wszystkie gazety o tematyce górskiej. Oglądałem zdjęcia wspinaczkowe, bo byłem zupełnym laikiem w tematyce fotografii górskiej.

2. W którym momencie zrozumiałeś, że fotografia jest tym co chcesz robić zawodowo?
Ciężko nazwać moją zabawę z zdjęciami sportowymi jako zawód. Moim głównym źródłem utrzymania jest praca w aptece a także wykonywanie zdjęć weselnych. Dzięki tak zarobionych pieniądzach mogę spełniać moją pasję jaką jest fotografowanie sportu.

Urodził się w 1981 roku i z wykształcenia jest mgr farmacji. Przygodę z fotografią rozpoczął w 2007 roku publikując swoje pierwsze zdjęcia wspinaczkowe na łamach najbardziej prestiżowych magazynów o tematyce górskiej. Od tamtej pory stale fotografuje wspinanie i wszystko co z nim związane. Zajmuję się również fotografowaniem innych dyscyplin głównie spod znaku extreme.Jest laureatem oraz finalistą wielu prestiżowych konkursów fotograficznych m.in. RedBull Illume, Memorial Maria Luisa, WKF National Geographic, Grand Press Photo.

Alešák Procházka na drodze Dominante, Saksonia. Fot. Adam Kokot

3. Twoje projekty to wynik współpracy z wieloma osobami. Opowiedz jak to jest ciągle pracować z różnymi wspinaczami, narciarzami, sportowcami?
Poznawanie nowych ludzi, miejsc, i dyscyplin to jedna z najfajniejszych rzeczy w świecie fotografii sportowej. Jednak im lepiej znasz się z osobą którą fotografujesz tym łatwiej się pracuje.

4. Ile sprzętu zazwyczaj zabierasz na sesję?
Nie ma konkretnej odpowiedzi na to pytanie, każda sesja jest inna, czasami mam ze sobą 4 obiektywy i 5 lamp błyskowych a czasami biorę jeden aparat i jeden obiektyw. Wydaje mi się, że im mniej sprzętu się ma tym lepiej.

5. Jacy fotografowie mieli na Ciebie największy wpływ?
Chyba żaden, nie wzoruję się na nikim, śledzę wszystkich czołowych fotografów sportowych, jednak cały czas staram się iść własną ścieżką.

6. Z jakiego wyróżnienia, nagrody jesteś najbardziej dumny?
Jestem dumny z każdej zdobytej nagrody, nie ważne czy był to wielki światowy konkurs czy lokalny, zawsze jest miło gdy ktoś doceni moją fotografię.

7. I na koniec, jakieś rady dla początkujących fotografów?
Wydaje mi się, że najważniejsze to aby bawić się fotografią, nie ma się co napinać na publikacje, wystawy itp. Najważniejsze według mnie to czerpać z fotografii jak najwięcej przyjemności.

www.adamkokot.pl

Dominik Kubica na lodospadzie „Oczy pełne lodu". Fot. Adam Kokot

Bob Downs and Susannah Galvin, La Parva, Chile. Photographer: Adam Clark

NEW SPOT

Lumens : 200 | Weight With Batteries :90g (3.2 oz) | Max Distances : [TriplePower LED] 80 m [SinglePower LEDs] 10 m | Max Burn Time : [TriplePower LED] 200 hours[SinglePower LEDs] 80 hours
IPX Rating : 8 | LED Type : 1 TriplePower, 2 SinglePower (1 white, 1 red | Batteries : 3 AAA (included)

Black Diamond®

BlackDiamondEquipment.com

TRWALE
WODOSZCZELNE

SURROUND®
PRODUCTS

Pierwsze buty turystyczne
wodoodporne i oddychające z każdej strony

ODDYCHAJĄCE
Z KAŻDEJ STRONY

© 2016 W. L. Gore & Associates GmbH. GORE-TEX, GUARANTEED TO KEEP YOU DRY, SURROUND, GORE i logo są znakami towarowymi należącymi do W. L. Gore & Associates. Podeszwa typu N-INJECTECH®